

A FRONT

Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 1(1)!
2017



Spis treści

P o e z j a

Fundacja Kultury AFRONT	3
Noty autorów części poetyckiej	4
Pochwała bezsensowności – wstępniak	7
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki – I „Przed akcją”, II (moja matka banderówka przeszła...), III (moja matka banderówka odleciała...), IV (moja matka banderówka...), V „Akcja”	8
Roman Honet – (*** jeżeli brak trwać może, trwa zawsze...), „kobieta w radiu”, „litość, ptak z betonu”	11
Marek K.E. Baczewski – Ars Poetica LIV: „Czysta kartka, zastrugany ołówek”, „Reklama”, „Filozof”, „Quia absurdum”, „Romans A-moll”, „Nagrobek uwodziciela”, „Kurs wymiany”, „Powiedz to książce”	13
Łukasz Jarosz – „Klasztor”, „Pogrom”, „Piosenka noworoczna”, „Tunel”, „Jednym tchem”, „Odpowiedź”, „Panorama”, „Świat nieobecny”, „Czynności i stany”	16
Maciej Melecki – „Włot”, „Rozstaw osi”, „Znikąd”	19
Magdalena Gałkowska – „hiperwentylacja”, „miłość”, „las maquinas de la muerte”, „roads”, „kolce”	22
Konrad Wojtyła – [hokus], [pestki i poroża], [znów tak], [skrywanie]	24
Piotr Gajda – „Chorągiewki”, „Uniformy”, „Wszyscy nie istnieją”, „Król Moher”	26
Radosław Wiśniewski – „Zenon Kałuża budzi się ze złego snu i zadaje wiele naiwnych z pozoru pytań, na które nie ma odpowiedzi, układając tym samym kwestionariusz smoleński”	28
Bogdan Prejs – „burza, nadzieja”, „lubię budzić się obok”, „prima aprilis”, „już nie”, „oraz akty nierządne”	30
Agnieszka Cebo – „Ćwiczenia ze stawiania trafnych hipotez względem zaobserwowanych uczuć”, „Odwyk”, „Voyage, voyage, czyli przesyłanie pozdrowień z kurortu”, „Ikar”, „Anno Domini”, „Sezon”, „Księżyc w cieniu słupa zakończonego neonowym M”, „Portret na tle piosenek zespołu ABBA puszcanych w radiu na nieznanej mi częstotliwości”	32
Robert „Robur” Feszak – „Pod lodem”, „Zauroczenie”, „Jabłka”, „Na szczycie góry”, „Teksturalne okręty”, „Ōtzi”	35
Rafał Gawin – Bez tajemnic z do połowy pustym barkiem. Ciąg dalszy podsumowania roku 2016 w polskiej poezji	37
Jarosław Nowosad – Podsumowanie XII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia	40
XII OKP im. K. Ratonia – I Nagroda: Paweł Podlipniak – „Widokówka z gorszego świata”	42
XII OKP im. K. Ratonia – II Nagroda: Mariusz Ropczyński – „Cienie i kształty”	43
XII OKP im. K. Ratonia – III Nagroda: Radosław Lach – „Bryła sztywna”	43
Jarosław Nowosad, recenzja – „Z Kariną Stempel krążąc po Nome” (K. Stempel – <i>Noc w Nome</i>)	44
Jarosław Nowosad, recenzja – „To wszystko dzieje się naprawdę. O poezji Łukasza Jarosza” (Ł. Jarosz – <i>Święto żywych</i>)	47
Jarosław Nowosad, recenzja – „Pewnym krokiem w jednej parze bytów” (M. Tomczyk-Maryon – <i>Sto par bytów</i>)	54
XIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia – ogłoszenie	57
Olgerd Dziechciarz – „Jeśli myślicie, że poeci są łatwiejsi w obsłudze od prozaików...” – felieton	58
Jarosław Nowosad, recenzja – „Jeszcze dalej poza ramy” (M. Jurkowska – <i>Między rzeką a lasem</i>)	60
I Ogólnopolski Konkurs Poezji im. Pabla Nerudy – ogłoszenie	62

Fundacja Kultury AFRONT

Fundacja Kultury AFRONT zajmuje się kulturą i sztuką. Nie zamykamy się w granicach ziemi olkuskiej, aczkolwiek stąd się wywodzimy, rodzinnego miejsca się nie wstydzimy i chcemy, by nasza działalność wypromowała tutejszych twórców i ich dzieła w Polsce, a nawet poza jej granicami. Mamy zapał i chęci. Nie boimy się wyzwania, niegroźne nam wszelakie rzucane pod nogi kłody, bośmy przyzwyczajeni, a poza tym wiemy, że determinacją i uporem człowiek jest w stanie pokonać każdą przeszkodę. Jeżeli nie zgadzacie się ze stwierdzeniem, że kultura i sztuka są niepotrzebne, że są afrontem wobec takich ludzkich potrzeb jak pełny brzuch i pusta głowa, jeśli chcecie działać, zapraszamy do współpracy.

Cele Fundacji:

1. Działalność na rzecz kultury i sztuki.
2. Wspieranie edukacji artystycznej i kulturalnej oraz wszelkich działań zmierzających do rozwoju i promocji szeroko pojętej kultury poprzez promowanie, inicjowanie i kreowanie działań na ich rzecz.
3. Podtrzymywanie tradycji narodowej, świadomości narodowej, regionalnej i kulturowej.
4. Działalność na rzecz wymiany kulturowej: promocji kultury polskiej za granicą, kultur innych narodów w Polsce, integracji europejskiej oraz rozwijanie kontaktów i współpracy międzynarodowej.
5. Wspieranie artystów, twórców i szeroko pojętej działalności artystycznej. Integracja twórców, działaczy, podmiotów kulturalnych i turystycznych oraz jednostek samorządu terytorialnego.
6. Inicjowanie i wspieranie działalności służącej rozwojowi turystyki.
7. Przeciwdziałanie poprzez kulturę i sztukę problemom społecznym i wykluczeniom.
8. Ochrona dziedzictwa narodowego i kultury materialnej.

Wesprzyj nas!

Fundacja Kultury AFRONT

NIP: 637-21-98-591

REGON: 365383662

KRS: 0000636325

Nazwa banku: Bank Pekao SA

Numer rachunku bankowego: 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339

Na rachunku prosimy o podanie informacji, na jaki cel wpłacają Państwo daną kwotę, np.:

- cele statutowe Fundacji,
- zakup kwartalnika „Afront” (nr...),
- zakup książki (podać tytuł książki wydanej przez Fundację).

Fundacja Kultury AFRONT – kontakt:

32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A

tel. 502 405 437, 668 118 267

e-mail: afront.fundacja@wp.pl

A u t o r z y > P o e z j a

Marek Krystian Emanuel **Baczewski**

Poeta, prozaik, krytyk literacki. Różne źródła podają różne daty jego urodzenia (od 1963 do 1967, my optujemy za 1964). Baczewski – to jego pseudonim literacki nawiązujący do znanej przedwojennej marki wódek produkowanych we Lwowie. Felietonista pisma „Opcje” oraz internetowej Witryny Czasopism, tworzy również słuchowiska radiowe. Laureat nagrody poetyckiej w pierwszej edycji konkursu im. R.M. Rilkego, organizowanego przez sopockie czasopismo „Topos” (1997). Laureat konkursu „Tyska Zima Poetycka” 2003, w wyniku którego opublikowany został tomik „Antologia wierszy nieśmiały”. W maju 2007 r. nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za książkę „Morze i inne morza”. Książki: *Fortepian Baczewskiego i inne konstrukcje* (Płock 1994), *Taniec piórem* (1996), *Kassandra idzie przypudrować nos* (Kraków 1999), *Wiersze zebrane* (Kraków 1999), *Wybór wierszy* (Sopot 1999), *Antologia wierszy nieśmiały* (Tychy 2003), *Morze i inne morza* (Mikołów 2006), *5 poematów* (Bytom – Katowice 2006), *Dykteryjki o Bogu, przyjaźni i wielbłądach* (opowiadki, Bytom – Katowice 2009), *Fortepian i jego cień* (wiersze zebrane, Poznań 2010), *Była sobie książka* (eseje, Mikołów 2011), *Złote myśli samobójcze* (eseje, Mikołów 2014) i *Projekt Orfeusz* (Mikołów 2016). Mieszka w Zawierciu.

Agnieszka **Cebo**

Urodzona w Olkuszu, ale mieszka w Krakowie. Wyróżniona w XII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia w 2016 r.

Olgerd **Dziechciarz**

Urodzony w 1968 r. w Olkuszu. Poeta, prozaik, felietonista, blogger, dziennikarz. Autor ośmiu tomików poetyckich, m.in. *Ubyt* (1996), *Autoświat* (2007), *Wiersze (p)różne* (2008), *Galeria Humbug* (2009), *Mniej niż zło* (2011), *Przewrócona ósemka* (2014), zbiorów opowiadań: *Masakra* (2007), *Miasto Odorków* (2009), *poMazaniec* (2009), *Pakuska* (2014) oraz powieści: *Wielkopolski* (2012) i *Małopolski* (2013). Publikuje też pod pseudonimem – Tytus Żalgirdas. Wiersze, opowiadania i fragmenty powieści publikował m.in. w: „Akcencie”, „Odrze”, „Cegle”, „Toposie”, „Frazie”, „Śląsku”, „Ricie Baum”, „Arteriach”, „Szafie”, „Helikopterze”, „Opcjach”. Tłumaczony na języki: angielski, niemiecki i serbski.

Robert „Robur” **Feszak**

Urodzony w 1978 r. Poeta, finalista konkursów im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Kazimierza Ratonia. Zwycięzca VII Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza. Nagroda Główną było wydanie jego debiutanckiego tomiku *Wnętrza gór*. Książka ta została wyróżniona w XII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Artura Fryza na najlepszy poetycki debiut książkowy w 2015 r. Mieszka w Bielsku.

Piotr **Gajda**

Urodzony w 1966 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Poeta, autor książek poetyckich *Hostel* (Łódź 2008), *Zwłoka* (Łódź 2010), *Demoludy* (Mikołów 2013), *Golem* (Mikołów 2014) i *Śruba Archimedes*a (Łódź 2016). Krytyk muzyczny, współpracownik „Arterii” oraz Gazety Literackiej „Migotania”. Wiersze publikował m.in. w „44”, „Tyglu Kultury”, „Opcjach”, „Toposie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Odrze”, „Cegle”, „Ricie Baum”, „Czasie Kultury” oraz w pismach internetowych, m.in. „sZAFa”, „Helikopter”, „Fragment”, w antologii łódzkich debiutantów *Na grani* (Łódź 2008) oraz w antologiach: *Pociąg do poezji. Intercity* (Kutno 2011), *Węzły, sukienki, żagle. Nowa poezja, ojczyzna i dziewczyna* (Kutno 2013), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016), *Ani ziemia jałowa, ani obiecana / Weder wüstes Land noch gelobtes* (Dom Literatury w Łodzi, 2016). Laureat Nagrody Otczaka 2014. Stypendysta Funduszu Popierania Twórczości ZAIKS w roku 2016. Jego wiersze przetłumaczono na język niemiecki. Prowadzi bloga Hostel – <http://pgajda.blogspot.com/>.

Magdalena **Gałkowska**

Urodzona w Poznaniu. Poetka, laureatka XIV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. J. Bierzina (2008), Tyskiej Zimy Poetyckiej (2014). Publikowała m.in. w „Odrze”, „Pograniczach”, „Tyglu Kultury”, „Czasie Kultury” i „Arteriach”. Autorka książek poetyckich: *Fabryka*

tanich butów (Łódź, Kwadratura 2009), *Toca* (Gniezno, Zeszyty Poetyckie 2012), *Fantom* (Tychy, Teatr Mały 2014). Stypendystka Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury za rok 2015. Współpracuje z pismem INTER, gdzie prowadzi rubrykę „pogotowie poetyckie”. Prowadzi też blog literacki www.fabrykatanichbutow.blogspot.com. Mieszka i pracuje w Poznaniu.

Rafał Gawin

Urodzony w 1984 r. w Łodzi. Poeta, krytyk literacki, recenzent, redaktor Kwartalnika Artystyczno-Literackiego „Arterie”. Nominowany do nagrody głównej i laureat nagrody publiczności w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Bierezina (2007). W latach 2006 i 2007 uzyskał drugą nagrodę, a w 2009 pierwszą w Turnieju Jednego Wiersza o Czekan Jacka Bierezina. Laureat głównej nagrody V Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Tadeusza Sułkowskiego. Wydał arkusz *Przymiarki* (Biuro Literackie, Wrocław 2009) i książkę poetycką *WYCIECZKI OSOBISTE / CODE OF CHANGE* (OFF Press / Zeszyty Poetyckie, Londyn – Gniezno 2011). Publikował m.in. w „Odrze”, „Opcjach”, „Kresach”, „Frazie”, „Wyspie”, „Cegle”, „sZAFie”. Mieszka w Łodzi.

Roman Honet

Urodzony w 1974 r. Poeta, w latach 1995–2008 redaktor dwumiesięcznika „Studium” oraz książek publikowanych w bibliotece tego pisma. Wydał tomy: *alicja* (1996), *Pójdiesz synu do piekła* (1998), *serce* (2002), *baw się* (2008), *moja* (wiersze wybrane, 2008), *pięte królestwo* (2011), *świat był mój* (2014). Redaktor antologii *Poezi na nowy wiek* (2010) i *Półw. Poetyckie debiuty*. Współredaktor *Antologii nowej poezji polskiej 1990–2000* (2004). Nominowany do Nagrody Literackiej Nike (2009), Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius (2009, 2015) oraz Nagrody Literackiej Gdynia (2012). Laureat Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2015). Jego wiersze tłumaczono na języki: angielski, duński, hiszpański, litewski, niemiecki, norweski, rosyjski, słoweński, słowacki, włoski, turecki, ukraiński. Prowadzi zajęcia w SLA na Wydziale Polonistyki UJ.

Łukasz Jarosz

Urodzony w 1978 r. Poeta, muzyk, nauczyciel. Laureat wielu prestiżowych konkursów poetyckich (m.in. im. K.K. Baczyńskiego, R. Wojaczka, R.M. Rilkego). Za swój debiutancki tom *Soma* (2006) otrzymał I nagrodę w Konkursie Młodych Twórców im. W. Gombrowicza oraz I Nagrodę w III Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Złoty Środek Poezji” (2007). Laureat I edycji Nagrody Poetyckiej im. W. Szymborskiej 2013 za tom *Pełna krew* (2012) (ex aequo z Krystyną Dąbrowską). W tym samym roku znalazł się w finale Nagrody Poetyckiej Orfeusz. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike: w 2015 za tom *Świat fizyczny* (2014), w 2016 za tom *Kardonia i Faber* (2015). Perkusista, wokalista i autor większości tekstów zespołów: Lesers Bend, Chaotic Splutter, Katil Ferman, Mgławce i Zzianiani Porywacze Makowców. Autor kilku tomików poetyckich, m.in. *Soma* (Biuro Literackie, Wrocław 2006), *Mimikra* (Biuro Literackie, Wrocław 2010), *Pełna krew* (Znak, Kraków 2012), *Świat fizyczny* (Znak, Kraków 2014), *Kardonia i Faber* (Biuro Literackie, Wrocław 2015), *Święto żywych* (Biuro Literackie, Wrocław 2016). Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, włoski, niemiecki i chorwacki. Mieszka w podolskiej Żuradzie.

Maciej Melecki

Urodzony w 1969 r. w Mikołowie. Debiutował w 1993 r. arkušem poetyckim *Zachodzenie za siebie*. Jest autorem 10 książek poetyckich, m.in. *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013), *Inwersje* (2016) oraz tomu zapisków *Gdzieniegdzie* (2016). Wiersze publikował we wszystkich ważnych pismach literackich w kraju (m.in.: „Twórczość”, „Kresy”, „Odra”, „Akcent”, „Studium”, „Czas Kultury”, „Tygodnik Powszechny”) oraz w wielu antologiach poetyckich. Jest współautorem scenariusza do filmu „Wojaczek” (1997), redaktorem tomu niepublikowanych wcześniej wierszy Rafała Wojaczka *Reszta krwi – wiersze nieznane* (1999) i współredaktorem tomu krytyczno-wspomnieniowego *Który jest. Rafał Wojaczek w oczach przyjaciół, krytyków i badaczy* (2001). W 2016 roku wraz z Konradem Wojtyłą opracował publikację *Rafał Wojaczek. Nie te czasy. Utwory nieznane*. Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, czeski, niemiecki, słowacki, francuski, słoweński i serbski. Jest redaktorem pisma „Arkadia”, członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i dyrektorem Instytutu Mikołowskiego. Mieszka w Mikołowie. Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego tomu *Bezgrunt*.

Bogdan Prejs

Urodzony w 1963 r. Poeta i prozaik. Autor kilku arkuşy poetyckich, trzech tomów wierszy: *sms do ludożerców* (2009), *ce ha* (2012) i *biernik* (2015) oraz kilku książek, m.in. „Subkultury młodzieżowe. *Bunt nie przemija* (2005 i 2010). Wiersze publikował m.in. w „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Śląsku”, „Akcencie”, „Lampie”, „Ricic Baum”, „FA-arcie”. Mieszka w Mikołowie.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

Urodzony w 1962 r. w Wólce Krowickiej k. Lubaczowa. Poeta. Absolwent filologii polskiej UMCS. Debiutował w 1990 na łamach pierwszego numeru kwartalnika „Kresy”. Od 1991 r. mieszka w Warszawie, od 1993 r. jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Skupieni wokół pisma „Halart” młodzi krytycy poświęcili Tkaczyszynowi-Dyckiemu książkę *Jesień już Panie a ja nie mam domu. Eugeniusz Tkaczyszyn Dycki i krytycy*. Poezja Dyckiego czerpie z tradycji polskiej poezji barokowej i ze współczesnych dykcji. Wśród czytelników zafascynowanych tą poezją znalazł się także Czesław Miłosz, który osobiście nagrodził poetę. Książki: *Nenia i inne wiersze* (Lublin 1990), *Peregrynarz* (Warszawa 1992), *Młodzieniec o wzorowych obyczajach* (Warszawa 1994), *Liber mortuorum* (Lublin 1997), *Kamień pełen pokarmu. Księga wierszy z lat 1987–1999* (Kraków 1999), *Przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania* (Legnica 2000), *Zaplecze* (proza, Legnica 2002), *Daleko stąd zostawiłem swoje dawne i niedawne ciało* (Kraków 2003), *Przyczynek do nauki o nieistnieniu* (Legnica 2003), *Dzieje rodzin polskich* (Warszawa 2005), *Poezja jako miejsce na ziemi* (1989–2003, Wrocław 2006), *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* (Wrocław 2008), *Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem. 111 wierszy* (Wrocław 2009), *Oddam wiersze w dobre ręce* (1988–2010, Wrocław 2010), *Imię i znamię* (Wrocław 2011), *Podaj dalej* (Poznań 2012), *Kochanka Norwida* (Wrocław 2014), *Nie dam ci siebie w żadnej postaci* (Kraków 2016). Jeden z najczęściej nagradzanych polskich poetów: Nagroda im. Kazimierza Włakowiczówny (1991), Nagroda im. Józefa Czechowicza (1991), Nagroda Literacka im. Barbary Sadowskiej (1994), Nagroda Niemiecko-Polskich Dni Literatury w Dreźnie (1998), Nagroda Literacka Gdynia (2006) za tom *Dzieje rodzin polskich*, Hubert Burda Preis (2007), Nagroda Literacka Gdynia (2009) za tom *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, Nagroda Literacka Nike (2009) za tom *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*, nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za ten sam tom, Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius (2012) za tom *Imię i znamię*, nominacja do Nagrody Poetyckiej Orfeusz (2015) za tom *Kochanka Norwida*, nominacja do Nagrody Literackiej Nike (2015) za ten sam tom, nominacja do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej (2017) za tom *Nie dam ci siebie w żadnej postaci*.

Radostaw Wiśniewski

Urodzony w 1974 r. w Warszawie. Poeta, krytyk literacki, współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Red” (2006–2013). Absolwent UJ w Krakowie; ponadto studiował w Opolu i Toronto. Współzałożyciel i aktywny członek działającej w Brzegu grupy poetyckiej Stowarzyszenie Żywych Poetów. Był jednym z głównych twórców wydawanego przez tę grupę w latach 1998–2004 artzina „BregArt”. W latach 2002–2003 był stałym współpracownikiem pisma „Undergrunt”; w latach 2000–2001 naczelny i jedyny redaktor „Informatora Kulturalnego Opolszczyzny”. Od 2015 redaktor reaktywowanego artzina „Nowy BregArt”. Jest laureatem wielu wyróżnień i nagród literackich, między innymi Literackiej Nagrody Młodych im. Marka Jodłowskiego (1999), Ogólnopolskiej Literackiej Nagrody Młodych warszawskiego oddziału ZLP (1999), a także Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla animatorów kultury (2008). Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w roku 2004 oraz w roku 2016. Był inicjatorem akcji artystycznych pod hasłem „Poeci dla Tybetu” (w latach 2010 i 2015). Autor, m.in.: *Nikt z przydomkiem* (Undergrunt, Toruń 2003), *Albedo* (Zielona Sowa, Kraków 2006), *NeoNoe* (Fundacja Pogranicze, Sejny 2009), *Abdykacja – wiersze zaangażowane i nie* (Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola 2013), *Inne bluesy* (Galeria BWA Olkusz/Biblioteka „Frazy”, Olkusz 2015), *Psalm do św. Sabiny* (Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2016). Mieszka w Brzegu, pracuje we Wrocławiu.

Konrad Wojtyła

Urodzony w 1979 r. Poeta, dziennikarz, krytyk literacki, wiceprezes Fundacji im. Sławomira Mrożka. Wydał pięć tomów poetyckich; ostatnio: *może boże* (Lubuski Wawrzyn Literacki 2010) i *Czarny wodewil* (2013). W 2014 r. ukazała się jego książka *Rewersy. Rozmowy literackie*. Przełożył z jidisz na polski nieznane wiersze Eliasza Rajzmana zebrane w tomie *Mech płonący* (2015). Współredaktor książki Rafała Wojaczka *Nie te czasy. Utwory nieznane* (2016).

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7 A

tel. 502 405 437, 668 118 267

www.afront.org.pl

afront.fundacja@wp.pl

Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny

Agnieszka Zub – sekretarz redakcji

Jarosław Nowosad – redaktor

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.

Projekt okładki: Paweł Garwol

Pochwała BEZSENSOWNOŚCI!

Czy świadomość, że angażujemy się w coś, co dla większości ludzi nie ma sensu, w coś, co na pewno nie przyniesie korzyści, co doda nam następnych obowiązków i obarczy kolejną porcją stresu, czy taka świadomość powinna nas powstrzymać od zrobienia tego, co sobie zamierzeliśmy? Naturalnie, że nie, bo gdybyśmy robili tylko to, na co inni nam pozwalają i co się opłaca, nie byłoby postępu: świat nie znałby pojęcia altruizmu, a sztuka – surrealizmu! Zresztą, kto wie, czy nie siedzielibyśmy do dziś w zimnych jaskiniach albo na gałęziach, z których kiedyś jakaś małpa zeszła na ziemię, mimo że reszta ją ostrzegała: – Nie schodź! Tu jest dobrze! Nie ryzykuj! Przecież to bez sensu! Zobaczysz, zaraz coś cię zeżre, albo i gorzej! Ale któryś z naszych przodków popatrzył na tzw. wujka dobrą radę i odparł: – Chcesz, to sobie siedź i nic nie rób, ja zaryzykuję, a co mi tam! Idę.

Cóż to za cudowna chwila, gdy człowiek skacze na głęboką wodę, dodatkowo mając zawiązane oczy! Cóż za emocje! A jeśli jeszcze pomyslimy sobie, jak wielu ludzi źle nam żyćzy i ilu z nich będzie ukurzonych, jeśli nam się uda – to dopiero jest mobilizacja! Od jakiegoś czasu słyszymy: – Zwariowaliście? Po co? Na co? Kto was do tego namówił? Przeciwno komu to robicie? A macie kasę? Nie uda się wam!

A my wizualizujemy sobie scenę z „Ziemi Obiecanej”: – Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic – zaśmiał się głośno. – To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć... kulturalne czasopismo.

Nie porywamy się jednak z motyką na słońce, bo zdajemy sobie sprawę z ogromu pracy, jaka nas czeka, i nie wymagamy szybkich efektów. Jest taki piękny szmonces o tym, jak to spotkało się dwóch Żydów: jeden z nich miał pieniądze, a drugi doświadczenie. I założyli spółkę; potem ten pierwszy miał już doświadczenie, a ten drugi wreszcie zdobył pieniądze. My mamy już doświadczenie, a – wbrew pozorom – na pieniądzech nam nie zależy; jeśli będzie trzeba, wydobędziemy je choćby spod ziemi. Najważniejsze jest dla nas to, żebyście z nami byli

i nas wspierali. Jakże jesteśmy wam wdzięczni, drodzy Autorzy, że obdarzyliście nas zaufaniem i podarowaliście AFRONTOWI swoje teksty. Teraz chodzi o to, by znalazły one swoich czytelników. Wierzmy, że dzięki ich jakości, oraz dzięki otwartej formule naszego kwartalnika, będziemy czytani. Po to się chyba pisze, do jasnej cholery!

Premierowy numer AFRONTU, przyznajemy, jest dość eklektyczny. Właściwie nie ma w nim tematu wiodącego, ale i być nie może, bo nie chcieliśmy żadnego narzucać; sami też – zdarza się – piszemy, i wiemy, jakim wstrętem napawa nas „tworzenie na zadany temat”. Momentalnie odechciewa się pisać, malować, rzeźbić, czyli... żyć. Z drugiej strony, gdy ktoś bardzo nalegał, mówiliśmy: niech tematem będzie afront! A co to jest afront? Wszystko jest afrontem! Kultura jest afrontem wobec rzeczywistości! Władza traktuje kulturę jako afront! Kultura jest afrontem dla nienawiści, nietolerancji i głupoty! Bo kultura denerwuje! Bo kultura wyśmiewa! Bo bez kultury ani rusz! A jeśli się komuś wydaje, że można bez niej żyć, to współczujemy i nie chcemy znać.

Czasopisma kulturalne są jak wulkaniczne wyspy – pojawiają się z nagłą, w wyniku efektownych erupcji, by częstokroć zniknąć równie szybko, choć na ogół już bez widowiskowych efektów. Bywa, że przypominają tulipany wychodzące wiosną spod ziemi, które pięknie zakwitają, by następnie przejść w fazę ukrytą, w jakieś trwanie, gdzieś w glebie (czytaj: nieaktualizowana wersja elektroniczna). Możemy tak zacząć, ale nie chcemy tak skończyć!

Nie możemy obiecać, że zrobimy wszystko, żeby przetrwać, bo to by oznaczało pójście na kompromisy, a my za bardzo cenimy sobie niezależność i apolityczność, by składać tak daleko idące i pachnące na kilometr konformizmem deklaracje. Obiecujemy jednak, że zrobimy co w naszej mocy, by AFRONT nie podzielił losu wielu ambitnych projektów, które zniknęły tak samo szybko, jak się pojawiły. ●

Bądźcie z nami! Frontem z AFRONTEM!

Redakcja

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

I Przed akcją

spotkałem w lesie kobietę
i mężczyznę nic o nich nie wiem
lecz podaję im pernązynę
żeby mogli wyjść z lasu przed akcją

we wszystkich okolicznych wsiach
mówi się o akcji (o przedsięwziętej przeciwko
nam akcji) matka boi się kolejnej
wywózki suszy chleb worki zasuszonego chleba

wymieniam na pernązynę tylko tak
można przetrwać w tych niepewnych czasach

II

moja matka banderówka przeszła
przez piekło (wraz ze mną
i beze mnie) ciotka Marinka zaś
odleciała w Lisich Jamach

nie umiem tego inaczej
nazwać (wraz ze mną
i beze mnie) odleciała w Lisich
Jamach i po niej po jej

piosenkach zapisanych wprawdzie
w mojej pamięci ale coraz mniej
od siebie wymagam Bukita również
odjechał na białym koniu

III

moja matka banderówka odleciała
nieco później i po niej (po jej
piosenkach) gdyby nie poezja w której
robię nie byłoby zagadnienia

otóż nie byłoby zagadnienia
gdyby dziadek rezun przepraszam
nie zaciukał m.in. Kąkola:
z wnukiem pana Kąkola

bawiłem się na jednym podwórku
choć matka Andrzeja (dziś ją
rozumiem) nie mogła na mnie patrzeć
przepędzała mnie z podwórka

IV

moja matka banderówka
przeszła przez piekło i ciotka
Marinka (siostra Bukity
co się okrzyknął Wernyhorą)

odleciała w Lisich Jamach
w opustoszałej rozpadającej się
chatce i nikt jej nie pomógł
tamten świat już się skończył

z tamtych imion (do których dorzucam
własne imię) nie będzie jutra

V Akcja

w lesie Kuczary pozostawiam dziadka
rezuna którego nigdy nie odwiedziłem we wsi
pod Węgorzewem gdzie się zakonspirował
po 1947 roku (ale wcześniej upozorował własną

śmierć z rąk Polaków) nic o nim
nie wiem i nie chcę wiedzieć
nie dam mu listka pernazyny szkoda
tabletki która ma dla mnie

pierwszorzędne znaczenie cip cip malutka
w lesie Kuczary pogrzebiemy
przeszłość cip cip maleńka nie każ mi dłużej
czekać pod umówionym jaworem

POEZJA

Roman Honet

jeżeli brak trwać może, trwać zawsze –
ten brak, który nas ochrania
od zmierzchu, ziemi, nieznający snu,
mowy ani milczenia, jak istota
powstała z samych oczu
i dlatego ślepa. lekki jak iskra skamieniała w palcach
lub śmierć nieznanej osoby,
nieważne gdzie, nieważne – nagle
czy po chemioterapii, w ogniu
albo w wodzie, tam gdzie ryby zawodzą
psalm w morskim języku

brak nosi tarczę każdemu
dla ocalenia przed czułością żrenic, pozostawieniem
ślądu palca na tapecie, skórze,
z której biorą się dzieci albo wiosna.
a ponad nimi lśni ciemne jezioro.
pamięć staje się niczym

kobieta w radiu

jest głos, co idzie z wiatrem
i zagęszcza się, wisząc na gałęziach,
kląskach, wręczając żyłki
pływakom wody barwnej. nieodwracalność
wraca do początku, tak aby zamykając
oczy, zamknąć lato, zegary
do miażdżenia krwi razem
z całymi naręczami mleczy. *kiedy nie wrócił, minęły miesiące,*
zakopałam wszystkie jego ubrania
w ogrodzie – to kobieta w radiu
o zaginionym synu, kiedy ten,
już nieważne, daleko czy blisko,
słyszysz i myślisz: *wróciłbym po moje,*
lecz moje było jedno: życie –
i spełzło na niczym

litość, ptak z betonu

im głębiej śpię, tym biją mnie
mocniej, plują w twarz, kopią
w głowę – ta kotwica z neuronów,
skręconego śniegu, kobiety –
nie zdarzyły się nigdy,
ale – pozostały. albo
je przyciągnęły liny holownicze,
albo je litość stawia
przed oczami sama. inaczej:
noc nie wybiera snów, tak w drewnie,
jak i w ziemi, a litość, ten ptak, chociaż z betonu,
wie, że śpiewać musi.
i tak to idzie:

nigdzie, czyli tu,
nic – nowy początek

POEZJA
Marek K.E. Baczewski

Ars Poetica LIV: Czysta kartka, zastrugany ołówek

ten wiersz pisałem przez lata
wiedziałem że nikt na niego nie czeka
mogłem pozwolić sobie na doskonałość

przez dwa lata strugałem ołówek
kto struga ołówek jubilerską szlifierką?
mogłem sobie na to pozwolić
ostry ołówek mówi prawdę
dwa ostre ołówki mówią dwie prawdy

przez osiem lat czytałem Księgę Wyjścia
mogłem sobie na to pozwolić
kto dzisiaj czyta Księgę Wyjścia?
dzisiejsze księgi nie są żadnym wyjściem

szukałem po wszystkich kątach
wołałem: przyjdź! jesteś potrzebny!
odezwij się! powiedz mi siebie!

mogłem sobie na to pozwolić
ale wiersz ma prawo do odmowy zeznań
ma prawo do spotkania z adwokatem
a to co powie może być użyte przeciw niemu
rzadko się zdarza że mówimy na próżno

przez dziesięć lat czekałem na ten wiersz
mogłem sobie na to pozwolić
czasami warto troszkę poczekać
kiedy zaczynasz pisać tracisz szansę

czasami ważna jest chwila wahania
między jednym słowem a drugim
jakby wiersz chciał nas nauczyć
że nie wszystko musi się zdarzyć
bo przecież sam nie dochodzi do skutku

Jezu! oni naprawdę myślą
że książki to poważna sprawa!
no cóż niechaj będzie i tak
ale wiersz jest po prostu mechanizmem
bardziej się o nim pamięta wtedy kiedy nie działa

przez dziesięć lat starałem się żyć
pisanie nie jest dobrym zajęciem dla nieżywych
mogłem sobie na to pozwolić
dziesięć lat by stać się czystą kartką

długo czekałem na ten wiersz
w końcu straciłem wiarę w jego przyjście
mogłem sobie na to pozwolić
nie znajdziesz rozwiązania póki wiążesz nadzieję

może pukał w drzwi pod naszą nieobecność
może szukał schronienia przed deszczem
może chciał pożyczyć łyżkę soli
może tak jak my wszyscy szukał swojego autora

Reklama

Pij zieloną herbatę!
Budda pił zieloną herbatę.
Kiedy pijesz zieloną herbatę,
różnisz się od Buddy
tylko tym, że nie jesteś Buddą!

Filozof

Rozwodzono się nad tym w gazetach. Młody filozof odbiera sobie życie po definitywnym rozstaniu z kochanką. Przy zwłokach znaleziono list samobójczy następującej treści:

„Istotą naszego chodzenia ze sobą było moje leżenie z tobą. Istotą twojego zerwania ze mną jest moje wiszenie tutaj. Miłość to uczucie pełne sprzeczności”.

Quia absurdum

Więc tak było naprawdę?
Nie odpowiadałaś, ponieważ
nie zapytałam, i tamtego wieczora
poszła do kosza cała metafizyka.
Zmęczeni ludzie całują się z wiatrem
i noszą szale, żeby nie oszaleć.
Więc było blisko, jesteś pewna,
i mówisz, że ludzie, gdy idą się kochać,
zostawiają w domu wszystkie odległości.
Ale gdzie jest wszędzie? Może jeszcze nie tu.

Na zawsze. Ale jeszcze nie dziś.
I nie jutro. Być może wczoraj,
może w innym wierszu. Tylko kiedy?
Za dwa lata. Wtedy będziemy wiedzieli,
co będzie za dwa lata. A jeśli nie?
Może trochę później. Może
w następnym odcinku. Może,
gdy będę gotów. Ale dlaczego? Bo.

Z moją miłością jestem sam.
Ale ty i ja? To już matma.
To można mnożyć, dzielić,
sprowadzać do wspólnego mianownika.

I nie mów, że wrócisz, bo nie wrócisz.
I nie mów, że przyjdiesz, bo jesteś.
Ty jesteś ty i ja.

Romans A-moll

Byłem turystą stojącym na moście,
z brodą wbitą w pięść, gdy spostrzegł mnie wystrzał.

I po co to potrzebne – po trzydziestce,
czterdziestce, po osiemdziesiątce,

że ten sam, na tym samym moście,
że Heraklit był w błędzie?

A jakie wtedy solidne wyrabiali chmury!
To nie to, co dziś. Jedna z nich, welnisty,

blady hipopotam, trzyma straż nad topolą,
która gubi liście – te nowe, nie tamte.

Tamte pozostaną. W międzyczasie, widziałem,
paliły się morza, wędrowały góry. Ale tu

nic nie płynie. Pyszne niebo naszych czasów
przerdzewiało, już trzyma się na jednej nitce

i tyle zmęczenia wokół. I nie wiem,
co robi w kieszeni niepotrzebny bilon

– wycofana z obiegu dziesięciozłotówka.
I zieloną książeczką z napisem: „LUDOWA”.

Historia jest pilną uczennicą codziennie
zaskoczona jakąś nową wiedzą.

I choć zużywa się w tej sprawie papier,
świat staje się codziennie coraz bardziej ten sam.

Nagrobek uwodziciela

Trut jej dupę przez dwa miesiące.
W końcu zgodziła się, żeby zrobił jej minetę.

Kurs wymiany

Źle ulokowałaś uczucia,
na szczęście były to złe uczucia,
więc się nie zmarnowało.

Powiedz to książce

Najdłuższa noc świata,
kiedy dwa ciała są tak blisko,
że dzieli je tylko przecinek.

Podczas pisanie tekstów składających na niniejszą publikację autor korzystał ze stypendium Miasta Zawiercie w dziedzinie kultury.

P O E Z J A

Łukasz Jarosz

Klasztor

Wspinaliśmy się ścieżką przy stacjach drogi krzyżowej.
Aniołek po wrzuceniu monety do jego brzucha, piszczał:
Dziękuję bardzo. Wewnątrz oglądaliśmy habity w gablotach,
ślizgaliśmy się w kapciach po posadzce. Dzień nadymał się:
słońce sunęło blisko twarzy, jakby chciało nas pochłoniąć,
w jego blasku muchy dźwigały sens i brud.

Rozłożeni nad strumykiem jedliśmy ogórki, tłuste,
smaczne zwierzęta, nasza krew namnażała się jak wirusy
i gwiazdy. Dziadek częstował ojca papierosami, wiatr tasował
ciemny papier jego skóry, kiedy podawał mi chleb.

Południe. Niedługo słońce znajdzie się w tym miejscu,
co wówczas. Niedługo moja córka będzie w tym wieku,
co ja wtedy. Właśnie przed chwilą tu przyszła i mówi:
Szatan to ktoś, kto nie kocha Pana Boga, ale chce z nim być.

Pogrom

Dlaczego ludzie nie wpadają w obłąd,
gdy patrzą w niebo, czarny wszechświat
zatrzymani w swoich ciałach, z oczami,
które patrzą ich mózgiem?

Czekamy w kolejce do teleskopu,
dotykamy kilkunastotonowego dzwonu.
Boję się, by nie zerwał się ze starej beli
i nie zmiążdżył wieży od środka.

Potem wychodzimy. Na trawniku pies
szczerzy żółte kły, biją się pijacy,
targając sobie włosy i kurtki.
Tak Bóg przychodzi do swoich dzieci.

Piosenka noworoczna

Piliśmy na boisku szkoły zawodowej –
krótkie, zimne łyki nakłuwające gardło.
Mróz piszczał jak suchy flamaster, który nas

nakreślił – małe, zziębnięte postacie z krwią,
która pragnie wydostać się z ciała. Ryby, które
nie znalazły się w erce, a płynęły za nią.

Tunel

Zima się spóźnia, liście zwijają się w cygara.
Wczoraj film Ciemności skryją ziemię, dziś
jako opiekun na konkursie kolęd i pastoralek.
Córka koleżanki boi się wystąpić, płacze.
Jej usta przecina tła – kropla na gałązce.

Odwracam twarz: przestańmy złem się bawić,
niewolników syny, małą miłość chrońmy z lękiem.
Przysypiam, na trawnikach między blokami czernieję
krecie kurhaniki. Na koniec chłopak z saksofonem,
wielki królewicu i jego głos nad rynnami,
piorunochronem, unosi, ożywia mnie.
Jak każda śmierć, każda świętość.

Jednym tchem

Palę choinkę, wróbel uderza o szybę.
Prostując się, przypominałem sobie,
jak podniosłem powiekę śpiącego przyjaciela –
było jak dzisiejsze niebo: wapienne, nieobecne oko.

Palę choinkę, zsuwam z parapetu w krzaki martwe
ptasie ciała. Bez wieczności ta chwila to jedyne, co mam.
Co może dać szczęście. Prostuję się, sąsiad odjeżdża
spod domu. Gdy auto znika za budynkami, przenoszę
wzrok na czubki drzew, odległy, biały dym z cegielni.
Ta chwila to jedyne, co mam.

Odpowiedź

Betonowe drewny i cień mojej wyciągniętej
z aparatem ręki. Za wcześnie się obudziłem,
popatrzyłem w słońce, które ścina takich białasów jak ja.
Przypominałem sobie twoje słowa: człowiek
rozkłada się w grobie w ciągu pięciu lat. I twój śmiech,
to, jak zastąpiłaś dłonią ubytek w zębie.

Parcie sznur studni, światło ścina. Niszczy, buduje
cały ten bezmiar, nędzę. Mój ojciec zakochał się w żydówce,
krył się pod pierzyną przed uderzeniami babki.
Też byłem krwią, wodą, świszczącym kamieniem.
Kochałem, nie zawiodłem.

Panorama

Oglądałem z uczniami ekranizację powieści.
I oni inaczej wyobrażali sobie głównych bohaterów.
Alojzy niszczący sekrety pana Kleksa, Pinokio
zabijający świerszcza, blondynek, który
„jest za słaby, by go bić – wykąpcie go”.

Byłem podmiotem zdarzeń. Pisałem.
Zakochany chciałem umrzeć, by w hałasie
dzwonów złożono mnie do grobu. Teraz dziczeję,
nie odbieram telefonów, starzeję się – od tylu lat
nie uderzyłem człowieka. Spóźniony,
cały w nerwach stoję na przejeździe;
najeżdża pociąg i zasuwam szyby.

Jestem podmiotem zdarzeń, okna wagonów
jak taśma filmowa. Nie notuję już nic –
szyny podsypane kamieniami, dudniący świat
podsypany kamieniami. Kamień nieba,
ptuś nieba, ptuś Niemeczka.

Świat nieobecny

Zrobiło się zimno, kobieta, którą codziennie mijam,
też zmieniła kurtkę. Idę, gadam do siebie, głupieję
i zmniejszam się – tu czy po śmierci tak samo sam.

Szczęśliwie zapominam, że jestem; dusza odchodzi
i biegnie tam, gdzie czasem zabiera mnie alkohol, miłość.

Zimno, kobieta wsiadła do autobusu. Notuję cicho,
na szybach, dworcowych blachach. To, co najskrytsze
urywa się z ciała i sunie, gdzie zostawiłem cień,
zrobiłem kroczek, przeskoczyłem kałużę.

Czynności i stany

Pamiętam arrasy przedstawiające świętych, na kolumnach
malowidła, za szybkami ukrzyżowane owady i rośliny,
przyrodniczy cmentarz. Pamiętam słabnące głosy rodziców,
gdy zasypiałem na tylnym siedzeniu auta, opowieść o kobiecie,
która uciekając, gdy szli Niemcy, nie wiedziała, co zabrać ze sobą,
chwyciła więc miotłę i wybiegła z domu. Pamiętam grubą gałąź nieba,
z której osypywały się deszcz i śnieg, światło, co wyrównuje
krzywizny. Zwierzęta, drzewa wydane na pastwę natury.

Przyjeżdżam do chaty w lesie, myszy pogryzły papier, mydło.
Rozpalam w piecu, kładę się na lewym boku, ugniatając serce.
Bóg tu przyjdzie, kiedyś powróci.

WLOT

Dachy mają kły i szczerzą się w oczodół poranka czarną krawędzią,
Odejmując, tym samym, powagi każdemu, kto biegnie, żeby pod
Nimi się skryć. Szum łamanych badyli. Zapadnie usterek podtrzymują
Zanik. Trzaski na podświetlonej skali, kumulacja zejść. Podziemne
Przejścia przedzierzgają się w miejskie węzły i tworzą biegnące w szary

Głęb szwy. Trwamy w tym brzęku, kałamy chlorem, odpływamy
Gęsty żwir, i na schodach zakwita perz, by nieco bardziej pachniały
Gaszonym wapnem ściany, wacha się więc ich kąty, przetyka odpływ,
Wymuje z niego wodniste placki mazi, odpowietrzone niebo wycieka
Resztką ługu i scala się na powrót w kałuży. Druty ciągną się aż po

Cięcie horyzontu. Rozwijam kolejny worek, nakładam go na kubek
I wypełniam treścią wiotką formę. Na oblodzonym pagórku mikry
Bałwan, zamiast garnka, ma postrzępiony kosz, miotła to rozszczępiona
Łopata, chwalmy więc uroczyska, nim zawieje fetor nowych dni,
Zjawia się rozkład jak rowerek śmigły, nie obiecuj tedy już nic, złóż

Się jak kolba. Taki jest ten stały wlot – migoczący zewsząd ku nam,
Ssący i odrzucający, przenikający najgrubsze warstwy ukrycia,
Byśmy mogli jeno zaznać wiecznej ucieczki przed ubojniami tego
Społecznego życia, w rozsunięciu dali mieścić swój błady wrzask, znosić
Cierpliwie swoje szczeble, stawiać cudze kręgle, mieszkając naprzeciw

Otworu lufy, i przy zaginięciu dowodów sklecać bramki nowych przygód,
Ażby twardy stukot każdego, niewidzialnego ruchu wypręzał nieco
Mniej plecy, pielęgnując skrawki odraz, jak nieliczne, wielorodne amulety,
Składane parawany, przechodnie osłony nieprzechodnich aktów klęsk,
Namacalnych porażek i niepochwytanych, ważkich niczym błędny trop rojeń,

Co do prędkiego ustania na koniuszkach serca siarczystych zamieci,
Rozpękłych miejsc, przeciążonych od pustych wnikań. Supł nogi to wyżymana
Szmata, którą usiłuje się ścierać odnawialne ślady na sinych tablicach
Przeznaczonych do wiecznej nauki, gdzie wyrzynane wzory szturchają
Rozpędzone neurony myśli, wzory mające grzążyć rozpyloną dookolnie

Wiedzę o licznych podstawach, domniemaną jak udar słońca w lutym.
Widły każdego widoku wycelowane są w gipsową przyszłość, nie mającą
Wiele wspólnego z tą szadzią gorzkiej dawki chwili, wcieraną w skronie
Jak talk, dławią więc niejeden przeżytek obmierzonego światu, kiedy kości są
Jeszcze luźno wypełnione anemicznym szpikiem i nagłe pługi rozpychają

Zatory w żyłach nowych śnień o wskrzeszeniu parodniowej kolonii, gdzieś
Poza południkami ciasno łowiącymi miejsce chwilowego przelotu, we
Wnętkach piwnicznego szumu, skraplającej się w tętnicach wilgoci, na której
Hodowane jest mrowienie w zakątkach gestu, potnego widzimisię, suchych
Drgań ściąganych przez stronę, do której nie chciałoby się już na stałe wracać.

Zaciek rdzy emituje spierzchłe dni. Dziury trawia kneble. Grabią się wzajem
Wytykane ułomnie racje, zagrzebuje się cień za cieniem, w tym mgielnym maglu,
Gdzie usztynia się każda porcja otuchy, płynną prasą doprowadzając do
Cierpkiej skruchy, pogorszenie zwyczajuje. Nikomu nie dość poświęcać innych,
Nikomu nie przychodzi już nic innego, bo nie mieć to nie być. Kłębi się swąd.

ROZSTAW OSI

Suma wszystkich kątów, kiedy pobywało się w swej poniewierce tych wątych
 Dać, równa się wciąż zeru. Wychodzi z niej linia długa, jak ciekły rów
 Biegący na ślepo przez każdy splot, jako ta linia życia. Kolejna pusta
 Krata. Kolejne twoje urodziny poza drenem tchu, migoczące płomykami przez
 Trójkątne oczodoły wydrążonej dyni. Kropisz niczym więz. Uchodzisz z
 Grobu. Nie ma cię ani tu, ani tam. Wyciągnij do mnie jeszcze raz dłoń
 Z trzema palcami, która była szybsza niż niejedna, podetknięta pięść. Mika
 Spadu. Slalom między sprzętami. Trasa codzienna jak zgorzel, krótka

Przejażdżka po zapętlonej kwadraturze, zbitej jak kokon chmury sufitu, pod
 Którą kryliśmy się jednak, przechodnim był tylko niż, ów kawałek suchego
 Poletka, gdzie odkładaliśmy drabiny. Przerwa, jaka coraz bardziej dzieli,
 To jedyne już odczuwalny ślad, znamię na okorowanej czaszce wspólnych,
 Czterdziestu czterech lat, choć mieszkales w szpitalnych złogach, śpiąc na
 Tamtejszych korytarzach lub pod rozeschniętym oknem w sali, która była
 Zatęchłym hangarem skupiającym dobytek z wszelkich strat, narastającym
 Rozstawem osi, prowadzącym twoje koła po kanciastych metrach trzech pokoi,

Zatrzymując przy wyciągniętym nagle z zasuw na drzwiach łańcuchu.
 Rewir tego stanu kurczy się we mnie jak wsadzona do wiadra pomyj ręka,
 Podtrzymując niepełnoletniość do śmierci, i ciągnie dusznie na pasku
 Zwidzenia w niedopętką otchłai najmniejszego wejrzenia, abym mógł się
 Wciąż przetaczać między matrycami brakującego oddalenia, wyczekiwanego
 Usłyszenia zahoryzontalnej ciszy, gdzie można by było osiąść, jak muł na
 Wystających korzeniach przybrzeżnych drzew. Nie dożywamy prawie zawsze
 Tego, co klekocze w tym lejąwatym teraz, choć czujemy ten tuman w mózgach

Innych, wierzących w obecny czas, jego przyobiecanie, szeroki wjazd,
 Którym będą mogli szybko dopełzać do swych robaczywych szyszek, dających
 Im możliwość zerwania każdej zachcianki, jak marchewki z jednego końca
 Kija, by prędko oddalić od siebie drugi jego koniec. Plandeka mroku opina nas
 Szczelnie. Rzadkie w niej otwory to kanały przyszłych zdławień, biegnące w
 Piwniczny grunt. Głina i piasek twardnieje w płaski trakt. Rozstrój szczybi gwint.
 Tryb powolnieje. Powój wyrasta z szeregu gałek. Nie ma takiej sieci, przez którą
 Byś przeszedł, nie otarłszy się o dno. Każdy wierchołek świeci czarną dziurą.

ZNIKĄD

Bezsporny czas oddalania się w konkretny niebyt, kiedy chodzisz dookoła
Swojej niewidzialnej osi, do której jesteś przytroczony danymi kwestiami,
Jest niewątpliwie szybciej mierzony i podlega częstszym przesunięciom wobec
Tego, co nigdy nie uszło uwadze, bo stawało się zarzewiem niejednego
Oparu, unoszącego się jak bezwonny czad nad wlotami do przepastnych
Chwil trwania w byle czym, rozruszniku każdego progu, gdyż jakakolwiek
Możliwość ginęła w pochopnej wiedności ściągającej bezbrzeżny smutek,
Opalizujący szumny nawiew bieżących poczynąń. Rośniemy względem
Siebie tylko w poprzek, unieważniając wszelki tonaż poprzednich dni
Szybkimi grymasami, i nagle drzewa wychodzą do nas swoimi korzeniami,
Jakby zawieja była stałym przyłaskiem, na którym rozgrywa się ta
Sekwencja kolejnej odsłony dramatu, z bagażem wszelkiego upomnienia,

Zadawanych razów, cichych odmów i westchnień. Nie możemy się
Nigdzie przebić. Stoimy w jednym punkcie, choć strzałka drga na siatce
Sinej tarczy. Położenie jest identyfikowalne tylko z chmurami, a kolejny
Zaprzęg sprowadzanych jak nieszczęście poczynąń rozszerza bezładny strumień
Trosk i poleceń. Odbij się od ściany tego kaprawego stanu. Wzleć ponad
Uskokami pobieżnych zwarć, rozładowując napięcia na liniach łączących
Cię z wytraconym punktem obecnej jaźni, pokawałkowanej pałatki drogi,
Przez którą musisz się przedzierać jak przez kordon upadłych gwiazd,
Ażeby na tym pustkowiu każdy, wytoniony z niego, kształt był cieniastą
Oznaką bliskiego zejścia w najbliższą zapadlinę mroku. Szwung ostatnich
Wydarzeń to plankton dla znudzonej biomasy. Bohaterowie mają wymazane
Oczy i dławią się kolejnymi tłumaczeniami, dzięki czemu usensacyjnia się
Na moment ten mroźny tydzień, i koryta przyszłych położeń nie wyglądają
Już najgorzej. Wchodzi się zawsze do tej samej rzeki i w jej mule koczuje
Się aż po brzask, nurty czuwania puchną od wędrownych wirów i mrowienie
Przenika przez najdalszy załom śnień o innych układach zniesień z pokładów
Zakrzywiających niejedną maszt, wyszczerbiwszy go jak kabłąk horyzontu.

Donikąd doprowadzi cię ta zawiesina i nie podniesie cię wyżej najsmuklejszy
Pion, pod sterą rupieci będziesz mógł niekiedy spocząć i wypatrzeć z okna
Pociągu tę wciąż nienachodzącą na siebie dal, gdyż nie zamieszkasz w żadnym
Ogarku już na stałe, i rozkwitając jak perz, na krótko będziesz strąkiem dla
Wskazania czyimś palcem, lotną gazą przytkniętą do czyichś, ścierpłych ust.
Każdy odchodzi tylko swym cieniem, nikt nie powraca z naręczem wniosków,
I wijące się na czołach gniazda są rozgrzebanym zbiorowiskiem mniemań o
Innych torach cudzych myśli. Wypal haustami mrozu swój następny szlak.
Mechaniczna zastoina pleni się u podnóża każdego przejawu zdrętwiałej woli,
Więc tylko jednostronnie możesz obchodzić się z kimś, nie dając mu za
Wygraną żadnej nadziei na przyszły zwrot. Osuwają mnie dźwięki z otwartych
Podwórek, chrobocze wyciągnięty pęk kluczy, i spokojny, miarowy głos
Zapowiada bliską odwilż, ażeby zaiskrzyły zawiasy w zagrodach przepełnionych
Zbłądzonymi, ulicznymi przechodniami, poszczególnymi ofiarami swojego ja.
Ziszczenia są tylko w biciu zegara. Pola są zaś łakomie i bezzębnie puste. Ich
Wypełnianie kończy się zawsze szeregami. Gnilna kadź. Znikąd żadnego oderwania.

hiperwentylacja

*Ours is the fire, all the warmth we can find,
He is a feather in the wind.*

Led Zeppelin

podobno Donald Trump molestował kobiety, a nas kto
pokocha? zimna pinda z kanciastą bryłką w środku,
niedostępny redaktor w fazie emocjonalnego pobudzenia?
podziemne przejście śmierdzi moczem i już wiem, że tam

nic mnie nie spotka, mogę spokojnie krwawić i odkazać
alkoholem drobne rany, boskie, rany, julek nie daruję
ci tej nocy, ani następnych, bo przychodzisz zawsze,
gdy pragnę innego, a upośledzony sąsiad wyzywa matkę

od kurew. zainspirowany debatą kandydatów na prezydenta
stanów, jednoczących we wspólnej destrukcji. więc kto
pierwszy położy dłoń i złorzeczenie? to jedynie niewielkie
nacięcia, all of my love, więc miejcie się, na baczność.

miłość

*zakochani ludzie chcą patosu,
ja się staram być przyziemny
i mam na to sposób*

Taco Hemingway

jutro deszcz i zachmurzenie w całym kraju,
deszcz i zachmurzenie, smutne piosenki
prosto z radia. ja cię kocham, a ty śpisz,
ty mnie kochasz – ja się budzę głodna

i smażę jajecznicę, zaspokajam kolejną
potrzebę. obiecałam ojcu, że będę dbać
o siebie i nie będę przeklinać, ale ktoś
na kłatce wyjebał ogłoszenie o zamykaniu

drzwi o dwudziestej, jakby nie wiedział,
że niszczy życie seksualne mieszkańców
tego zadupia, gdzie wszyscy są i nikogo
nie ma, gdzie nawet Stephen King w końcu

bredzi jak Coelho, a wiersze o miłości
brzmiały jak oda do mielonki z promocji
w Lidlu. tanie kochanie, tylko nie mów
sąsiadom, bo się zlecą i zabraknie. dla nas.

las maquinas de la muerte

*I patrzę na ciebie sobie, zaczyna mi się spieszyć
Daj mi się w końcu jakoś pocieszyć*

Kazik

I
z matką nie rozmawiam. od roku trwa embargo
na garsonki, szpilki i bieliznę korygującą
panie po czterdziestce. nadal mają prawo
do dresowych spodni i błędów w wyborach.

nie maluję paznokci, od dwudziestu lat
kocham jednego faceta, to jedyna stałość,
na jaką mnie stać, bo nic nie kosztuje
więcej niż nie stracone złudzenia. banal

i znudzeni żonkosie z zaburzeniami erekcji
hojnie stawiają licząc na rewanż. okupują
portale i gdy mają szczęście, pękają w szwach,
i z dumy, że gładko, że bez konsekwencji.

II
wiesz, tato? dziś myślę, że to musiał być
Rilke, bo kto inny rozgryzłby nas i rzucił?
mam twój upór, jedyne dziedzictwo i nic więcej.
masz takie oczy niebieskie, a przez moje – zielone

kilku oszalało. rzuciło żony, kochanki i teraz ma
pretensje, bo od dwudziestu lat kocham jednego faceta,
a wiersze próbują mnie z tym pogodzić. trwa embargo
na obce ciała i pospieszną miłość, więc zgaś moje oczy.

roads

bóg w pełnym rynsztunku bezkarnie
przejeżdża na czerwonym. mnie
spada łańcuch, a tak naprawdę
kołysz się na zajęchanej zębatce.

przerzucam słowa, oczko po oczku,
dopóki nie trafią – nie zaskoczy
i nie będzie się kręcić. Jadźka
jestem, mam sześć dych – oznajmia

żona boga, zaliczając kolejne słupki.
jej łańcuch nie przeszkadza, chroni
przed dwupasmówką i nocą, gdy „sex
on fire” to jedynie wspomnienie.

jak ten gość na murku, kolega boga
zwracający to, co nienależnie przyjął,
na co się załapał, czego długo
nie zapomni, choć nie będzie pamiętać.

przerzucam oczko po oczku i zaskakuje
i kręci się, choć nie wiem jak
zmieścić nas wszystkich w jednym
miejscu, wierszu, wieczorze.

kolce

pękamy jak łupiny kasztanów.
nasze lśniące, brunatne wnętrza
rozpychają szczeliny,
już widać fragment,

już
wystawiamy się na dotyk
miękkich dłoni kobiet,
szorstkich mężczyzn.

Czekamy
aż ich dzieci
nadadzą nam kształt.
przy pomocy kolców i zapalek.

[hokus]

Zaczynamy od nicości, więc obejdzcie się bez początku
na końcu. Głos w beznoc wabiący rozchodzi się po okolicy,
a zatem wedle wiary waszej niechaj się stanie to coś
– w uszach, zgięciach kolan, zakolach i łuskach. Pewnie
już wiesz, oto jestem; poślij mnie. Mów, że

dylemat wypić szampana czy włożyć kominiarkę zwiastuje
dialektykę grzechu; że ręce sprytne jak ból zawsze znajdują cel;
że oczy oczywiste, usta ustawicznie otwarte na zamknięcie;
bo rana rani, broda brodzi, bo krew w brew, że brew wbrew.
Pewnie już wiesz, oto jestem; poślij mnie. Sklej, Mów, że

powłóczyście spódnice prowokują powłóczyście spojrzenia.
Martwe ryby z nieprawego morza, że wszystko w sam las.
Za którą lędzwi szelest łamanych rąk i gałęzi, cisza wytrącona
z gniazda, że czar opętań wabiący w bezdeń. Ptak pikuje,
o tak.

[pestki i poroża]

Pestki. Wisienki krwi w zardzewiałych trumienkach
hełmów. W nocy sen bez scen. Niewiasty – płaczące i te
nie; Księżyc turla się ze śmiechu z zachodu na wschód.
Ślepe plamki nieba, dziwożony w piekło wzięte. Sok w noc
z lodem i bez; samogon – tu nie mówi się, czym jest śmierć.
Nie sposób bronić się; strzel w twarz, ostatni toast – na raz.

Była wojna. Raz pierwszą, raz drugą; potem nie. Już tylko
kości, bunkry, struktura żałobna traw i pędów, zboża i poroża.
Proporczyki proletariatu i kryształki, barbiturany i hiacynty,
łopiany i tulipany. Kobiety muszą wyjść za mąż, zanim zaczną żyć.
Wesela winne i niewinne miny; i kaprysy i grymasy, dąsy i płąsy.
Żałobne kokardy i meczety, ulotne spojrzenia do góry oczkami.

[znów tak]

Między zwrotnikami wisimy łaskawie
 podatni na zamazywanie śladów – w pełni
 przesileń i wstrzymań – może wreszcie z braku
 czasu wrócimy do swoich zajęć i obejdzie się
 bez pytań, wiadomości tekstowych, połączeń
 z zastrzeżonego numeru i głosu, co nic nie mówi,
 nawet o nas samych. Znowu udajemy, że się obyło
 bez szkód najmniejszych, że nie potrąci się nam
 nic z polisy wzajemnych zależności. Ofiary
 nie zgłoszą się w przyszłości i przedawnią się
 prawomocnie wymuszone wyroki.

Odchodzimy pełni ruchów pozornych i gładkich;
 półżywi i na wpółmartwi – gramy na czas, każdy
 do swojej bramki; skazani na kolonie karne
 w odosobnieniu, biegi na dezorientację, turnusy
 z dala od brzegu i sztormów; inwersje pulsu
 i ekstatycznych drgań. Kartografowie wymazują nas
 z obiegu i wszystkich map – jeszcze kilka miejsc
 i skreśleń ust; potem wypuszczę cię z rąk i nic
 w nas się nie zapali, nikt nie będzie gasił pożarów.
 Inny czytać cię będzie bez przykrości – wciąż
 i od nowa nieaktualnie.

[skrywanie]

Oto dylizans i rewolwer z cukru; a to konik
 bujany, na którym uciekamy od siebie –
 misternie jak w westernie; potem wyśnimy
 znów wszystko, co czarne. Już chlupot podków
 ku światłu, nietwarze w powietrzu i fantazmat
 błękitu. Droga kefirowa, co wiję się i zwija
 w groteskowym kontekście bakterii. Nie sposób
 skryć się ani zbiec. Znowu coś drwi z nas w kółko
 i krzyżuje – gwoździ nie więcej niż siedem. Już
 znaki nieczytelne – martwe kukułki w papierkach
 zegara, wskazówki bez odpowiedzi i czas, co gra
 na czas przeciw nam. Zakon twój wyrasta z powieki
 i lęk, co owija nas bawełną wokół martwych
 palców. Opląt i ostatni obrzęd. Kokony i kokoty
 w półcieniach; pokoty słoneczne i sploty przecięciał.
 Larwy chruścików i niemych motyli. Diamenty
 na kątowniku, gdy wychodzisz z mgły na muśnięcie ręki.

Wiersze z przygotowywanego tomu *Znak za pytaniem* (WBPIK 2017)

Chorągiewki

Więc po co? Pytanie z końca przenoszę
na początek, jeżeli od zawsze było wiadomo,
że prolog zostanie zmielony wraz z epilogiem,

tworząc apologię drapieżnych ssaków,
których siedem miliardów wobec rozszerzającego się
kosmosu, przypomina pieprzyk na ciemnej karnacji

Arvinda Jayashankara. Na razie nadążasz?
Asem ukrytym w rękawie jest zanik w mrowiu,
stuchawka w uchu, przenosząca ryk kakofonii,

komunikacja miejska wożąca mnie znikąd do nigdzie
przez lej w ziemi, jakim jest to miasto
wraz z trupami swoich zasłużonych obywateli

usypanymi w kopce, spod których wołają językiem
piachu niczym trwale upamiętnieni zombi,
mój posąg do dalszych rozliczeń, rozmów i czynów.

Ropiejemy, bracia! Robaczejemy! Czym więcej są Indie
niż cuchnącą odleżyną? Czym jest wszechświat,
jeśli nie mokrym prześcieradłem, nasiąkniętym

krzykiem ze wszystkich ziemskich rzeźni?
Łopoczącym w próżni jak nóżki dziecka z Litzmannstadt,
skrzydła hodowanego na mięso brojlera albo łeb

cieleńca podróżującego linią do uboju. To raczej pewne,
że znamię okaże się rakiem skóry rozciągniętej
do swoich granic, podobnie jak komory sztucznych

serc stymulowane niehumaniczną aparaturą.
Nasze sztuczki, nasze domki z kart. Nasze obsesje
i opresje, podlegające przemysłowej miniaturyzacji,

żeby je nazywać niegroźną opryszczką. Oceany
przelanej krwi, sprowadzane do zaschniętego kleksa.
Nasz zbrukany sztandar. Więc po co go prać?

POEZJA
Piotr Gajda

Uniformy

Znalazłeś się w punkcie, z którego nie ma
odwrotu. To nie pęd ku zatraceniu, to oficer

polityczny opowiada na ucho, iloma pociskami
załadował magazynkę. Szepce. Sączy słowa

jak cykutę. Zimny cyngiel. Uwielbia zapach
napalmu o poranku. Wszędzie wokół śmierdzi

ludzkimi prochami. Zdołałby w całości
wypełnić mundur i głowę, podobną do księżycą

w nowiu. W rozsypce niczym dźwięk
na rozstrojonej klawiaturze. Wygląda więc na to,

że świat fałszuje, pędzi zakosami na złamanie
karku, chociaż stworzenie go było fałstartem.

Toteż nikt nie powinien spieszyć się z wydawaniem
rozkazów na melodię „Wlaź kotek na płotek”.

Inaczej różne totalitaryzmy znowu szczęką na raz
jak pistolet startowy.

Król Moher

Korona z głowy mi spadła. Nosiłem na strzelnicy
borek z antenką, aż trafili w nią śrutem, choć

celowali w brzuch. Utraciłem więc nie tylko prawa
wyborcze, ale poniekąd i męskość, która była mi

języczkiem u nadwagi. Teraz mam figurę butelki
lejdejskiej i jeden jedyny ładunek elektryczny.

Ostatni strzał do tarczy słońca, która z każdym
rokiem coraz bardziej upodabnia się do tysienia

plackowatego. Tak, ustąpiłem wrogowi placu,
lecz przede wszystkim czasu. Całe życie nosiłem go

na ręce, a on sobie tam tykał. Byłem na to głuchy.
Poniosłem wielkie zwycięstwo, ale nie uniosłem beretu.

Wszyscy nie istnieją

L – jak lina, linia. Na przykład życia. Jakie
to banalne, ale czy oprócz „banalności”
doświadczasz czegoś więcej? Wszak to ona
jest forpocztą schyłku, awangardą

pogardy do samego siebie, skoro najmocniej
jesteś przywiązany do długotrwałego
marszu na przeciwną stronę. Jak wołyżer
kroczący po linie rozwieszonej na niebie.

Jak marionetka umocowana do linki.
Zważ na nierozrwalne zasady. Lina
falaowała na kształt sinusoidy, a nieostrożny
skoczek poruszał się po literze L.

ZENON KAŁUŻA BUDZI SIĘ ZE ZŁEGO SNU I ZADAJE
WIELE NAIWNYCH Z POZORU PYTAŃ, NA KTÓRE NIE
MA ODPOWIEDZI, UKŁADAJĄC TYM SAMYM
KWESTIONARIUSZ SMOLEŃSKI

„Pan minister (Macierewicz – red.) podjął decyzję, ażeby apel smoleński przy każdych ważnych uroczystościach, przy apelach poległych, był odczytywany. Uważam, że to jest bardzo piękna decyzja, uhonorowująca tych, którzy na służbie dla ojczyzny ponieśli śmierć [...]”

(Beata Szydło, premier R.P., wypowiedź 13.07.2017)

„(...) Milczę już więcej (...)”

(Krzysztof Szczerski, poseł na sejm RP w TOK FM, początek roku 2014)

Ja uważam, że to jest piękna decyzja, żeby przy każdym apelu honorować tych, którzy ponieśli śmierć. Chociaż nie do końca rozumiem, dlaczego uhonorowywać a nie po prostu honorować, uhonorować, oddać honor? To tak, jakby króla ukoronowywać, zamiast po prostu koronować. I chyba w służbie ojczyzny, a nie na służbie. Ale co do zasady w pełni się zgadzam, że trzeba przypominać o tych, którzy w służbie ojczyzny ponieśli śmierć. Nie rozumiem tylko, dlaczego ofiary katastrofy trzeba honorować przy wszystkich innych upamiętnieniach, w których uczestniczy asysta honorowa Wojska Polskiego. Czy to oznacza, że ludzie, którzy tragicznie zginęli 10 kwietnia 2010 roku w rozbitym samolocie pod Smoleńskiem, zginęli nie tylko pod Smoleńskiem? Bo skoro wbrew weteranom można wepchnąć apel smoleński na obchody rocznicy Powstania Warszawskiego, wybuchu drugiej wojny światowej, to dlaczego nie na polach grunwaldzkich? Albo pod Cędynią? Albo nad Bzurą? Bo może przynajmniej część tych ofiar zginęła zawsze i wszędzie? I co tylko zginęli na jednym polu chwały, to zaraz ginęli na innym? Ledwo zginęli w 2010 roku, a już ginęli w Powstaniu Warszawskim? Albo styczniowym? Albo nie ginęli, ale ktoś chce sprawić takie wrażenie, że ginęli? Albo jak nie ginęli, to jest prawie tak, jakby zginęli? Albo polegli? Bo to na jedno ostatnio wychodzi, czy poległ, czy zginął. A skoro tak, to jak urzędnik mianowany umrze na zawal w pokoju na ostatnim piętrem urzędu, to poległ na służbie, czy tylko umarł? Może zatem chodzi o to, że w Smoleńsku zginął Prezydent, czyli Pierwszy Obywatel R.P. Tylko dlaczego w takim razie przy każdej smoleńskiej uroczystości nie wyczytuje się Prezydenta Gabriela Narutowicza zamordowanego z zimną krwią w Zachęcie przez narodowego działacza Eligiusza Niewiadomskiego? A z drugiej strony, skoro chodzi o upamiętnianie osób, które oddały życie za ojczyznę, albo zginęły na służbie dla ojczyzny, to dlaczego na uroczystościach smoleńskich nie odczytuje się imion i nazwisk wszystkich żołnierzy poległych pod Monte Cassino? Na przykład porucznika Ludomira Białeckiego, którego czołg wyleciał na stosie min w tak zwanej Gardzieli, a on sam wydostał się z płonącego czołgu i umierał kilka dni, bez nadziei na wyleczenie, bo jedyne niepoparzone miejsce było pod kolanem. W to miejsce lekarze wstrzykiwali morfinę, a on przez wszystkie dni powiedział podobno tylko: „Piecze jak cholera”. Dlaczego w takim razie na kolejnych miesięcznicach smoleńskich nie wyczytywać polskich żołnierzy poległych pod Narwikiem, albo gdzieś na morzu, tych, co nie mają grobu jak załoga ORP „Orzeł”, albo ORP „Orkan”? Dlaczego nie wyczytuje się na kolejnych miesięcznicach smoleńskich żołnierzy kapitana Raginisa, broniących się w siedmiuset pod Wizną przez trzy cholernie upalne wrześniowe dni? Dlaczego nie wyczytuje się żołnierzy 76 pułku piechoty z Lidy, którzy o świcie piętego września ruszyli do ataku na szosę piotrkowską z lasów nad Luciążą, nie wiedząc, że po pięciokrotnej zmianie planów dowódca

armii jednak odwołał natarcie i oddalił się z pola bitwy? Nie wiedzieli i poszli prosto w bok niemieckiej dywizji pancernej i do południa zostali wybici do niemal nogi. 618 zabitych z dwóch batalionów, część rannych Niemcy rozstrzelali razem z mieszkańcami Milejowa. Podobno weterani Pierwszej Wojny Światowej, kiedy widzieli pobojowisko 76 pułku, nie wierzyli własnym oczom, że trup w walce może stać się, aż tak gęsto. Rozumiem, że wyczytanie 618 imion i nazwisk wydłużyłoby apel smoleński o jakieś dwie godziny, gdyby przyjąć dwanaście sekund na każde imię i nazwisko. Jakby doliczyć kapitana Raginisa i jego żołnierzy spod Wizny, to by się zrobiły ze cztery godziny. Być może dlatego nie wyczytuje się też żołnierzy pułkownika Dąbka, broniących do końca Kępy Oksywskiej. W ostatnim meldunku pułkownik wyliczył zabitych na około tysiąc siedmiuset pięćdziesięciu. To kolejne sześć godzin. A jakby doliczyć żołnierzy II batalionu 6 pułku piechoty rzuconych 2 września do kontrataku na czołgi, bo dowódca dywizji nie miał innego odwodu, a czołgi rozjeżdżały właśnie dywizyjną artylerię? A przecież tych pól bitewnych w samym 1939 roku było dużo więcej. Kilkaset starć oddziałów wielkości większej niż batalion. A gdyby wyczytać jeszcze Powstańców Warszawskich, na przykład z baterii „Kuba”, do której nie dotarł rozkaz, że atak na Okęcie jest odwołany? A gdyby tak doliczyć cywilów, którzy nie za bardzo mieli wybór, a zginęło ich ponad sto tysięcy, może nawet dwieście tysięcy? A skoro ich też, to także mieszkańców wsi Michniów wymordowanej w lipcu 1943 roku za pomaganie partyzantom ze zgrupowania majora „Ponurego” – razem dwieście cztery osoby, w tym pięćdziesiąt cztery kobiety i czterdzieścioro ośmiu dzieci rozstrzelanych, załuczonych kolbami, spalonych żywcem. A przecież tych wsi było bardzo dużo, niejedną Michniów był po drodze. I dlaczego w takim razie nie wyczytuje się też przy okazji rozmaitych uroczystości smoleńskich obywateli polskich wyznania mojżeszowego? Już nie mówię, żeby wyczytywano żydowskich sąsiadów mieszkańców Jedwabnego, Radziłowa, Szczuczyna, Wąsosza. Ale dlaczego nie wyczytuje się Berka Joselewicza, Antoniego Jeziorańskiego, Jana Krysińskiego, Michała Landego? I dlaczego nie wyczytuje się w takim razie ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy obywateli polskich wyznania mojżeszowego zagazowanych w Treblince? Wyczytanie wszystkich ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy imion i nazwisk, przyjmując dwanaście sekund na każde imię i nazwisko, zajęłoby sto siedemdziesiąt tysięcy minut, czyli w przybliżeniu ponad dwa tysiące osiemset trzydzieści godzin, czyli około sto osiemnaście dni i nocy bez przerwy. A gdyby dokończyć do tego Sobibór, Bełżec, Chełm nad Nerem, wyszłoby dwieście siedemdziesiąt dni i nocy bez przerwy. Nie licząc Majdankę, Auschwitz, Płaszów, Stutthofu, Gross Rosen, Getta w Warszawie, Krakowie, Wilnie i Otwocku. I jakby doliczyć jeszcze cywilów, którzy zginęli we wszystkich powstaniach, oblężeniach, ofensywach, rozpaczliwych kontruderzeniach, tylko dlatego, że dom, kamienica, piwnica były na trajektorii lotu pocisku jednej lub drugiej strony frontu, to mogłoby się okazać, że trzeba byłoby czytać imiona i nazwiska przez cztery albo pięć lat, dzień po dniu, noc po nocy, a i tak by było mało czasu i pozostałyby białe plamy. Do takiego czytania trzeba by zorganizować strasznie dużo ludzi. A do słuchania takich apeli pewnie więcej niż do czytania, bo to trochę głupio, kiedy czytających jest więcej niż słuchających. I gdyby do takich odczytów dochodziło, to pewnie byłiby ludzie, którzy by umierali w trakcie. Czytania albo słuchania. I trzeba by ich było dopisywać do tego apelu, bo ostatecznie zmarli podczas słuchania albo czytania apelu tych, którzy oddali życie na służbie ojczyźnie. To prawie tak, jakby zmarli na służbie. I ta lista będzie rosnąć. I coraz mniej ludzi będzie pracować, uczyć się, zajmować się domem, ogrodem, uprawą, rolą, warsztatem, wszyscy będą upamiętniać, a w tym upamiętnianiu nie będzie komu przepychać kanalizacji, wywozić śmieci, udrażniać rowów melioracyjnych, leczyć chorych, bo coraz więcej osób będzie do upamiętnienia. I w końcu wszyscy wyginieją i już nie będzie komu upamiętniać tego wyginiecia. To może jednak warto milczeć już więcej? Bo przecież żyć można, a nawet trzeba. Chociażby dlatego, że tamci już

nie mogą.

Bogdan Prejs

burza, nadzieja

podobno nadal umierasz. wczoraj napisałeś nowy wiersz,
zastanawiasz się, czy już ostatni, trochę żałujesz, bo wena
od jakiegoś czasu odwiedza cię o świcie częściej niż wtedy,

kiedy każde słowo było jeszcze przesiąknięte krwią. drżysz,
że pewnego dnia zastąpi ją siostra snu, a przecież dopiero
co wyrosłaś z komunijnej sukienki. panienka z chudą dupką.

panna poborowa. przestań pytać, czy nadal mam ten mały
kamyczek z przylądka dobrej nadziei; to jakiś żart? ściskam go
zawsze przed kolejną burzą; gładzę, poleruję.

lubię budzić się obok

ciebie nie da się zwieść byle słowem. ej, mięso,
mięso, zero nabiątu, nie służy ci mleko (laktoza
ewentualnie do kawy). lody na patyku ostre jak

nóż. ba! leron. oraz biała (grillowa), krakowska
lub śląska, ewentualnie absolutnie zwyczajna.
polemika? w mojej głowie tkwi wegetarianizm.

rano, gdy wciąż dramatyzowałem swój koszmar,
wyszeptawszy, że w naszych stosunkach jest rów-
no, w takiej chwili trudno się oprzeć wrażeniu

prima aprilis

nie zastanawialiśmy się, czy cudzołóstwo zacznie
być karane śmiercią, bo czym prędzej zdjąłem ci
wyszczuplające majtki (rano znalazłem je w misce
na pranie, na podłodze złamaną zapinkę kolczyka,

nawet nie zauważyłaś, kiedy ci spadł). najbardziej
wartościowi są mężczyźni potrafiący sprawnie
wkręcić żarówkę, z reguły są to: elfy, krasnoludki
lub ojcowie, lecz z nimi nie da się przeżyć, odejdą

pierwsi, prawo systemu bezwzględne jak ulotność
rzeczy martwych. przekonanie, że dobro jest dobre
wyłącznie dla słabych. poza tym trzeba zetrzeć kurz
z tronu. puste mogą być tylko oczy, słowa i gniazdo

już nie

*wyciąganie logicznych wniosków
z niekonsekwentnych przesłanek
nie prowadzi z kobietami do niczego*
Stanisław Dygat

już nie staniesz się młodsza i piękniejsza, twoi kolejni
będą coraz sławniejsi i coraz bardziej skurczeni. taka
tam ad hoc sporządzona impresja na temat wolności,
small emocjonalny szantaż poniewczasie; można go

rozpisać na wszelkie dostępne głoski, wykpić do cna,
zszargać, sponiewierać, zmienić w farsę. nic nowego
nas nie czeka, jedna zjawia jaskółki nie rodzi, raczej
zwiastuje kolejną burzę nie do ogarnięcia, po której

wszystko stanie się inne; da się wskrzesić z gruzów
dom, tylko po co, jaki sens sklejać ruinę bez opoki

oraz akty nierządne

gdyż nie należy być kutasem, a trudno nim nie zostać, jeśli całe
lata było się mopem; pragnienie odegrania się na wszystkich ce-
cha zaczyna przeważać nad absolutnie zasadniczym poczuciem

przyzwoitości. spokój, tylko cicho sza. coś się udało? nareszcie.
teraz podstawa to nie gwałcić te boże krówki przekonane, choć
nieuświadomione w błogobycie, niemyim kwadransie warhola,

w toalecie, w wucecie, na czacie, z telefonem na patyku. gdzieś
między złem i dobrocią (martyna jakubowicz). na całe szczęście
nigdy nie będę starą kobietą, rozlanym mlekiem, wyschniętym

fiołkiem, zdechłym chomikiem. północ dawno minęła, a przecież
bez reguły zwykle po niej wytaczaliśmy działa przeciw sobie - ty
we mnie, ja w ciebie. po co komu wojna? po co komu niedziela

Ćwiczenia ze stawiania trafnych hipotez względem zaobserwowanych uczuć

Próbuję odgadnąć uczucia mężczyzn walczących z parasolami
wyginanymi przez wiatr.
Wyciągam wnioski z wyrazu twarzy.

Widzą siebie w korzystnym profilu, w zbliżeniach bez plam na honorze,
jak w obejrzanym niedawno kasowym hicie, gdzie według krytyków
trafnie sportretowano śmierć za idee.

Wbrew pozorom jest to łatwiejsze
od odgadywania uczuć towarzyszących
stylizowaniu kanapeczek serwowanych
na pewnych wydarzeniach kulturalnych.

Odwyk

Zaledwie chwilę nas tu nie było
a już bombarduję
dziwne proporcje nadrzecznych zarośli
powstałe w wyniku samozalesienia
logiem Nike, Adidas®.

Mnożenie przez to samo
razi w oczy jak
głośne mówienie rzeczy
przez kogoś, kogo nie chce się słuchać.

Voyage, voyage, czyli przesyłanie pozdrowień z kurortu

Nieskończone pasmo zwielokrotnionych ciał
i getry naciągnięte na plastikowe nogi
jedna obok drugiej;
Papież Polak w otoczeniu mew
zrywa z utrwalonym w pamięci portretem papieża Polaka w górach.
Zawsze były mi obojętne wzniesienia
z bursztynów błyszczące
gofry i smażone ryby.
Najskuteczniejszą bronią jest sypanie piasku na ręcznik,
wtedy zmultiplikowane ciała tracą czujność,
a hipnotyzujący ruch materii zaciera ślady istnienia.

Ikar

Kompulsywnie kreśli nogą koła na śniegu.
Nigdy nie był dobry w zwalczaniu nawyku
pielęgnowania nerwicy.
Coś zaczęło w nim drgać dopiero wtedy, gdy
podglądając zwierzęta, nabrał przekonania,
że istotą życia jest pozostawianie śladu.
Bez prób.
Bez doświadczeń w pielęgnowaniu wspomnień
z czasu spędzonego w towarzystwie ojca.

Splonie od uciekania wzrokiem pod spódnice,
Do źródła cierpień.
Bez prób.

Anno Domini

W sobotę mieszkańcy gromadzą zapasy,
wyrrywając sobie przecenione towary
(ani żadnej rzeczy, która jego jest).
Dziewczynka znudzona czekaniem
ciągnie matkę za rękaw i pyta, czy
gdy wreszcie babcia umrze, będzie mogła
zająć jej pokój
(ani żadnej rzeczy, która jego jest).
Jest zbyt mała, by wiedzieć, że
w przestrzeniach po zmarłych
zostają kalendarze i przetwory
zdadne do użycia
(ani żadnej rzeczy, która jego jest).

Ale wola jest wolna.

Sezon

Pulsujące światło roweru
i jej nieskończone nogi
były początkiem pozornych objawień.
Na przykład:
patrzenie z odpowiedniej wysokości
pozwala uchwycić jednorodność plastyczną świeżo wylanego betonu.

Być może to nie jej wina.
Czasem nietrzeźwość brutalnie mnożyła nam metafory
i narażała na kontuzje doświadczanie świata.
Ale analizowanie bilansu przegranych zakładów
jest ważniejsze od poprawnie sformułowanej odpowiedzi
(gdzie widzisz siebie za pięć lat?).

Księżyc w cieniu słupa zakończonego neonowym M

Relacje między nimi noszą
fizyczne ślady zużycia.
Bezpowrotnie utracone lata
rozdzielności majątkowej i segregowanych odpadów.
On:
bada próg możliwości bez potrzeby polerowania tłumaczeń
Ona (przeczuwając):
ze strachu przed redukowaniem znaczeń
pokłada nadzieję w czerwonym kolorze
sprezentowanej przez niego puszkii kiszonych śledzi.

Portret na tle piosenek zespołu ABBA puszcanych w radiu na nieznanej mi częstotliwości

Twoja twarz wpisana w koło,
idealna.
Mimo fiksacji na reumatyczne bóle
(wywołanych obniżonym ciśnieniem atmosferycznym)
wyraźnie widać,
że dbasz o spożywanie odpowiedniej ilości wody.

Wbrew własnej woli przyglądam się z bliska,
twój zapach ma coraz większy zasięg.
Projekcja na długość ramion,
mam pewność, że przy następnym spojrzeniu
polegnę.

P O E Z J A

Robert „Robur” Feszak

Pod lodem

Mężczyzna stawia swoje kroki na zamrzniętym jeziorze.
Wie, że lód jest gruby, że nic złego nie może się zdarzyć.

Patrzy w stronę bladego słońca, wyciąga telefon i dzwoni
do kobiety w głębi łądu. Nad otworami wybitymi w lodzie

zgarbieni wędkarze w skupieniu obserwują jak w mroku,
pod lodem, znikają żyłki. Obok nich wiaderka i sieci.

Tak mnie wtedy pamięć utrwaliła. Dlaczego ten moment,
i właśnie z tej, a nie z innej perspektywy? Może to sprawa

tamtego światła, powietrza, może wypowiedzianych
do telefonu słów, albo przez tamto rodzące się uczucie?

A może było jeszcze coś, czego nie wiem, co teraz
upomina się, skupia na sobie całą moją uwagę?

Zauroczenie

Na szyję opada kosmyk ciemnych włosów.
Tuż przy uchu wokół palca owija sznurek

od okularów. Palce drugiej ręki z wprawą
uderzają o klawiaturę. Sylwetka pochylona.

Noga założona na nogę. Na monitorze
zmieniają się cyfry i tabelki. Wszystko

musi do siebie idealnie pasować. Inaczej
nie zadziała. Tak to jest skonstruowane.

Logiczna pustka to jedyny Bóg, którego
znam. Patrząc potem w ten sam, ale już

zgaszony ekran, myślę o chwili,
która mnie zauroczyła.

Jabłka

Żółte jabłka przy drodze, w mokrej trawie, których
nikt nie zbiera. W tle blokowisko. W ciemne okna
uderza sierpniowy deszcz. Idą zmoknięci, wtuleni
w siebie, parasole mają złożone. Obracam się
za nimi i kiedy znikają, zsuwam z głowy kaptur.

Deszcz odkleił od drzwi klepsydrę, którą
ktoś od nowa przykleił papierową taśmą.
Dziś o szesnastej, dziś o szesnastej ceremonia
– powtarza stary mężczyzna. I patrzy
na mnie tak, jakby moja obecność
była obowiązkowa.

Na szczycie góry

Śnieg zasypał wszystkie ślady. Zniknęło miasto u podnóża góry.
W parę minut i zostałem sam z widokiem na wyciągnięcie ręki.

Choinki wygięte przez wiatr do samej ziemi. Brak wskazówek.
Każda ze stron świata podobna do siebie. Moment wahania,

w którą teraz należy iść stronę? I niespodziewanie wyłonił się
oni, razem z wiatrem, z ciemności, z GPS-em na resztkę prądu.

Tekturowe okręty

I

Ojciec przynosi z pracy w stoiku butapren.
 Podobą mi się jego gęsta konsystencja.
 Za patykiem ciągną się lepkie nici. Wciąż
 zdzieram ze stołu i palców tłuste grudki.
 Sklejam statki z tektury. Najbardziej lubię
 te z czasów wielkich geograficznych odkryć;
 nieznane lądy, sztormy, dzikie plemiona...
 Od tego zapachu, choć okna podchylone,
 mam zawroty głowy. Ale nic nie mówię.
 Za oknem świat, którego już nie ma.
 Wyjrzyć teraz przez nie, oprzeć łokieć
 na blaszanym parapecie, krzyknąć
 – czekajcie, gdzie idziecie,
 idę z wami.

II

W tamtą stronę idzie się po rurach, które
 wychodzą z ziemi i w ziemi nagle znikają.
 Pod rurami krzaki, pokrzywy i duże liście
 łopianu. Trzeba być ostrożnym, bo łatwo
 można się potknąć. W dole jest rzeczka
 o mulistym dnie. W niej, odkąd pamiętam,
 dużo śmieci. Rzeczka wplywa pod most,
 po którym jeżdżą pociągi, wtedy jeszcze
 do Czechosłowacji. W wilgoci, w mroku
 skuleni chłopcy trzymają przy ustach
 foliowe worki, które rosną i maleją.
 Z każdym wdechem i wydechem
 rodzą się i umierają światy. Ich oczy,
 kiedy stamtąd wychodzą, są zamglone.
 Nieobecne. Jakby nie wiedzieli,
 skąd i gdzie przybyli.

Ötzi

Nie wiadomo, przed czym ucieka, nie wiadomo, kto go ściga.
 Może obraził ówczesnych bogów, może popełnił zbrodnię.

Albo zwyczajnie miał pecha. Złany stonym potem, otulony
 w futra, ostatni raz patrzy na śnieg pod stopami i na góry.

Przy boku torebka z węglem drzewnym do rozpalania ognia.
 Ostatni jego posiłek – mięso jelenia i zboża. Oprócz tego

we wnętrzu ciała znaleziono pyłki sosny, a to znaczy, że była
 wiosna, albo wczesne lato, po zębach i kościach, że to

pięć tysięcy lat temu. Ostrze wroga przebija bok. Wzrok
 mętnieje. Ostatni głęboki oddech. Może myśli o tym,

co robił rano, może o dziecku, albo... To nie ma sensu,
 bo prawdy nie dojdziemy. Jakakolwiek to była myśl,

to nic już nie znaczy. Więcej mówi teraz jeden, jedyny
 paznokieć, który ocalał. W śniegu, tak samo jak dziś,

świecą gwiazdy. Szczelina ukrywa ciało. Twardnieje
 lodowe wieko, które odcina od tlenu i światła,

od spojrzeń zwierząt i ludzi. I tu dla ciebie wielka cisza.
 Nawias. Na górze słychać skrzypienie. Mrok w tobie,

ten sam, który krąży między niebem i ziemią. Śnieg odtajał.
 Turysci znaleźli cię w dolinie Venosta, wtedy zapewne

ta dolina nazywała się inaczej, albo w ogóle nie miała
 nazwy. Na granicy Austrii i Włoch. To pewnie dla Ciebie

też dwa obce słowa. Dali ci nową twarz, nowe włosy,
 a przede wszystkim nowe imię, bowiem wszystko,

co istnieje, a nawet to, co chcielibyśmy, by istniało,
 musi się jakoś nazywać. Zrobiono, co było w mocy,

by wyrwać cię ze świata, który żyje w słowach
 i wyobraźni. Teraz szukamy podobieństw.

Bez tajemnic z do połowy pustym barkiem. Ciąg dalszy podsumowania roku 2016 w polskiej poezji

Napisałem podsumowanie roku 2016 w poezji polskiej na pozabranżowego bloga (gawin.liberte.pl) w celach popularyzatorsko-integracyjnych (niech nas zobaczą i niech wiedzą, że coś takiego w ogóle istnieje) i oczywiście pominąłem nie tylko kilka wartościowych pozycji, do których nie dotarłem, ale również takie, o których niewybaczalnie zapomniałem. Nadrabiam te zaległości w nowym miejscu, nie licząc na wyrozumiałość ani inne formy taryfy ulgowej. Nisza poezji jest zbyt wąska, by pozwalać sobie na podobne przemilczenia.



Oczywiście, co wolę na wstępie podkreślić, to jedynie suplement subiektywnego przewodnika po meandrach wydawnictw poetyckich z ubiegłego roku. Skrótowy, przyczynkowy, bez większych ambicji. Taka wypadkowa polskiej krytyki literackiej ostatnich lat, martwej i dryfującej w pustce, nawet mimo pewnego fermentu, jaki wywołało coraz głośniejsze upominanie się o swoje żarliwie zaangażowanych w polityczny model wiersza i wyszukiwanie go nie tylko u jego kreatorów (Szczepan Kopyt i Tomasz Bąk, o których *Z A B I C i [beep]* Generation pisałem na blogu), ale i u Bogu ducha winnych Piotra Przybyły, Jakobe Mansztajna czy (mimo wszystko) Ilony Witkowskiej (wymienieni nie ogłosili w minionym roku premierowych książek z wierszami, pisałem o nich w recenzji antologii *Zebrało się śliny* zamieszczonej w „BiBLiotece”). To jakiś rodzaj pomysłu na podejście do najnowszej poezji, jednakże póki co – zbyt tendencyjny, by traktować go poważnie.

Tyle tytułem wstępu. Oczywiście, ponownie nie uwzględniłem książek, w których maczałem palce (zbiory wydane przez Dom Literatury w Łodzi, w kooperacji ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi). Brakujących pozycji w zestawieniu znowu nie uszeregowałem w jakiś konkretny sposób, ale – jak w przypadku *Projektu „Orfeusz”* Marka Baczewskiego – nie bez przyczyny rozpoczynam od największego nieobecnego pierwszego zestawienia, Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego.

Dycki jak zwykle próbuje szokować, więc sięga po neobarok. Tak mógłby się zaczynać jeden z setek artykułów na temat najczęściej nagradzanego i opisywanego polskiego poety ostatnich lat (nie licząc, oczywiście, noblistów). I to któryś z cyklu ironiczno-zaczepnych, może nawet w pewnym stopniu próbujących naśladować styl autora *Nie dam ci siebie w żadnej postaci* (Lokator, Kraków), lub raczej przez ten styl przejętych i opanowanych. Tak właśnie się dzieje z „dycją” tego poety – jest na tyle sugestywna, że wręcz narzuca się sama wszelkiej maści badaczom, nawet tym akademickim. Tylko ile z tego zostaje dla nich? Już sam tytuł najnowszego zbioru Dyckiego skutecznie odbija piłeczkę. To jakby drugi (pierwszym jest *Kochanka Norwida*) tom, w którym autor lekceważy sobie krytyków z zacięciem biograficznym, poszukujących w kolejnych jego książkach historii prawdziwie strasznych. I takie odświeżenie przez inny, bardziej kpiarski, rodzaj ironii

wychodzi poetyce Dycia, nomen omen, na zdrowie. Coraz bardziej absurdalne nazwiska i nazwy własne trafnie zbijają argumenty tropicieli prawdziwego zaangażowania w rzeczywistość, ba, w rzekome poszukiwanie tożsamości przez autora z polsko-ukraińskiego pogranicza. To konsekwentnie prowadzony projekt, misternie prześmiewczy tren. Ciągłe pisanie od nowa ten sam wiersz zapętla sensy i oswaja niepokojące mantry powtórzeń, by najzupełniej (choć ta prostota jest pozorna, ale nie czas i miejsce, by rozwijać ten wątek) i jakże dotkliwie udowodnić, że przygoda z wierszem odbywa się wyłącznie w nim, w jego języku i towarzyszących mu (w świadomości i podświadomości odbiorcy) echach. Treść i forma spletają się w łańcuch-palimpsest, samostanowiący się i samowykluczający zarazem. To budujące i silne doświadczenie w epoce post-prawdy, niemalże przyczynek do nowej (prywatnej) mitologii. A raczej – po pilchowsku, gdy ten gest dubluje Dycki w tym tomie – „w chujnasób” przyczynków. Dycki niezmiennie zatrzymuje i już po raz drugi zmusza do porzucenia wygodnych, bo wielokrotnie wyrównywanych ścieżek interpretacji. I to jest największa zaleta tego tomu. Jego niepokojąca nieuchwytność.

Darek Foks jak zwykle sobie igra. I gra, bez (tanich) efektów. Nie dość, że nieopatrznie obejrzał *Wołyń* (Smarzowskiego), to jeszcze próbuje mu zaserwować światowego superbohatera. W ramach uprawianej przez siebie polityki (anty)historycznej akcję tomu *Wołyń Bourne’a* (Raymond Q. Skierniewice) umieszcza w niedalekiej przyszłości, jednocześnie przypisując sobie wiele zasług po drodze (vide nota na czwartej stronie okładki), co uczy i bawi jednocześnie (młodzi i spięci, właśnie taki dystans jest potrzebny, by robić literaturę). Sprawa zawartości tomu wydaje się jasna jak wolny rynek i jego coraz mniej niewidzialna ręka. *Wołyń* wraca do polskich rąk, ale już został globalistycznie sprywatyzowany. Bourne tylko chodzi i spisuje (jak podmiot-autor według żony w kultowym wierszu Krzysztofa Jaworskiego), a my dostajemy kolejny głos w dyskusji o tożsamości narodowej (tak, nie mylić z wierszami Dyckiego), żarłocznym kapitalizmem i kręceniu, również filmów. Kupuję takie niezobowiązujące zaangażowanie i nie zamierzam go spieniężać. To chyba jeden z najjaśniejszych punktów w twórczości skierniewickiego pisarza od czasu przejścia na minimalizm i wittgensteinizm.

Po latach działań na portalu Nieszuflada w końcu zadebiutowała Zyta Będkowska. *Dwa chutory* (Mamiko, Nowa Ruda) nie przynoszą rewol-

lucji, bo przynosić nie mogą, a nawet wręcz nie mają takich ambicji. To dość sensownie skomponowany i dość obszerny (jak na debiut) wybór wierszy z lat 2004–2016, zamieszczanych na wspomnianym portalu, poddanych niewielkiemu retuszowi. Charakteryzujących się przede wszystkim szczególnym potraktowaniem motywów rustykalnych (leksyka!), nawet intrygująco, a przy tym subtelnie zderzanych z różnego rodzaju nawiązaniem typu post-. Zakończonych (przeważnie) mocno zaakcentowaną puentą. Głównie krótkich, zdaniowych, precyzyjnie nieprzegadanych. Ale czy – jednak – momentami nie nazbyt „warsztatowych”? „Papierowych”? „Wykoncepowanych”? To raczej tendencyjny zarzut, pojawiający się w kontekście książek autorów popularnych w sieci, długo stroniących od papieru. I typowy grzech tak zwanych późnych i dojrziałych debiutów. Drugim bywa właśnie nadmiar wierszy, tutaj tylko nieznacznie dający się we znaki. Główna Nagroda na „Złotym Środku Poezji” dla tomu nie była niezaskuszona. I nie bawię się teraz w dyplomację, tylko doceniam tę książkę, również na tle silnej konkurencji młodych i często gniewnych (Dawid Mateusz, Damian Kowal, Joanna Żabnicka, Radosław Jurczak, Karol Ketzer, Wit Pietrzak, Adam Leszkiewicz czy Marcin Tomczak).

W *Rujach i wyciszeniach* (WBPiCAK, Poznań) Marcin Ostrychacz postawił na zbytnią (i zbyt grubo ciosaną) dosłowność, z pogranicza tej charakterystycznej dla Szczepana Kopyta z jednej, a Tomasza Bąka z drugiej strony. Tyle że ten pierwszy, w najlepszych wierszach, potrafi uwieść (nie, nie na barykady, mówię o erotykach), a nawet w najsłabszych ma energię, pasję i flow. Tyle że ten drugi, w najlepszych wierszach, potrafi celnie wyśmiać wolnorynkowe mechanizmy i jeszcze autoironicznie zrekonstruować w nich podmiot liryczny, a nawet w najsłabszych nie brakuje mu poczucia humoru i świeżych językowych pomysłów. Ale to tylko jedna strona medalu. Tymczasem Ostrychacz nie tylko dopowiada tam, gdzie zdecydowanie nie musi, ale jeszcze zaciemnia tam, gdzie już wystarczająco hermetycznie kluczy (jakby tropami Góry, nie tylko z *Nich*, ale i wcześniejszych tomów; zwłaszcza ich litanijnych części). I jeszcze gdyby to kluczenie było językowo ciekawsze, a czające się pod jego przykrywką tajemnice bardziej intrygująco nierozwiązywalne, to dostalibyśmy tom, któremu równocześnie mogliby patronować Bieńkowski i wspomniany Góra. Nową jakość, może nawet i polityczną. A tak mamy konstrukcję w procesie, półprodukt półzaangażowany. Szkoda, bo bardzo obiecujący debiut autora zaostrzył apetyt na więcej, zapewne nie tylko mój.

Tomasz Pietrzak chyba niestety przegadał swój temat. Gdyby nie wcześniejsze, historyczno-rodzinne *Rekordy* (2012) i *Umlauty* (2014), to prawdopodobnie *Pospół* (Instytut Mikołowski, 2016) wybrzmiałby mocniej, jaśniej, bardziej świeżo. A tak – jest kolejnym elementem układanki, niejako częścią rozpisanej na tomy opowieści, której specyfika polega na tym, że w podobnym, neoklasycystycznym, skupionym i spokojnym wydaniu z dobrze i konsekwentnie, ale przez to i monotennie, prowadzonej całości po kilku lekturach na powierzchni zostają tylko najlepsze wiersze. W coraz mniejszej liczbie. Pietrzak podjął wyzwanie, zapewne świadomy ryzyka na miarę Uroborosa. (Tak, tak, cykliczność i obsesyjność w poezji to może być proces mający swój kres w nieskończoności, czyli nigdzie). Niemniej, choć oczywiście nikt nie zamierza

pisać dla nagród i „pod” jakiejkolwiek kapituły, dwie nominacje do Nike (zdecydowanie zasłużone!) mogły uspić jego czujność. *Umlauty* to była ściana. W przypadku *Pospołu*, owszem, widać w tej ścianie pęknięcia, ale przeważają guzy próbującego się przebić. W tym porządku wiersza i świata przedstawionego – na dłuższą metę bezskutecznie.

Radosław Wiśniewskiego *Psalm do św. Sabiny* (Stowarzyszenie Żyjących Poetów, 2016) to chyba po prostu rodzaj rodzinnego hołdu (w tym przypadku utożsamianie osoby mówiącej w tekście z autorem jest wręcz pożądane) i jako taki broni się, prowadzony – można powiedzieć w pewnym uproszczeniu – zgodnie z regułami gatunku. Bez fajerwerków i poetyckiego szpanowania muskułami, tudzież innymi słabościami ciała i ducha. To odważny i godny podziwu gest. Nie tyle ryzykowny, co w kontekście rozwoju najnowszej poezji polskiej – daremny. Przyznaję szczerze, że osobiście wolę autora w krótszych i bardziej zwartych formach, jakie zaprezentował choćby w wydanych dwa lata temu *Innych bluesach* (2015). Wiem z bliskich mi źródeł, że to nastąpi niebawem, za sprawą powołanego przez Wiśniewskiego Zenona Kałuży.

Krzysztof Kleszcz w *Pańskim płaszczu* (Kwadratura, Łódź) postanowił zostać poetą prawicowym. Na szczęście nie do końca mu się to udało. Oprócz mocno dyskusyjnego (z racji bardzo subiektywnej perspektywy podmiotu) wiersza o Marii Peszek poeta z okolic Tomaszowa Mazowieckiego kontynuuje swoją lingwistyczną krucjatę bez epatowania politycznym zaangażowaniem. Nawet Bóg ma tu wydźwięk jedynie metafizyczny. Jeżeli już coś go drażni, rozprawia się z tym na poziomie neologizmu, gry językowej, zderzenia kilku idiomów i przysłów, bon motu – jak sam zwykł określać najistotniejsze frazy w zbiorze. To rzeczywiście swoista kopalnia językowych pomysłów, którymi raz po raz autor wręcz bombarduje – zwykle w seriach, mocnych puentach, nagromadzeniu podobnie brzmiących słów jednosylabowych (to taki jego konik na biegunach). I zwróci ktoś uwagę, że taka metoda jest krótkowzroczna, że taka żonglerka prowadzi na poznańskie manowce, niezależnie od niewątpliwych umiejętności technicznych Kleszcza. A jednak tak zbudowane całości (choć często zorientowane na odbiór fragmentaryczny i życzeniowy typu „biorę dwa zdania, a resztę unieważniam”) całkiem płynnie się przyswajają. Ba, w pewnym sensie opowiadają historie o wielkiej samotności w świecie złych mediów. O grzecznie oburzonych, ułożonych obywatelach, którzy szukając większych i głębszych przeżyć, odkrywają, że z braku innej katastrofy traumę może wywołać bus trzęsący się na nierównościach powiatowej drogi. I nie musimy się tutaj odwoływać do teorii, do liryki maski. Mówię to bez cienia ironii. *Pański płaszcz* zgrabnie leży nie tylko na autorze, a wystający spod niego wieszak formy przeszkadza jedynie w niewielkim stopniu.

Tyle retrospekcji, uzupełnień i uderzeń się w pierś. Następnym razem, o ile takowy nastąpi, skupię się na samych nowościach. Bałdyga, Bartczak, Brzoska, Fado, Macierzynski, Malek, Michalczak, Owczarek, Płusa, Podgórniki, Sosnowski, Tomicki, Topolski, Wilczyk, Wiśniewski, Wolny-Hamkało, Woźniak, Zajac i Zawada – to tylko garść nazwisk autorów, których premierowe książki właśnie się ukazały bądź ukazują. Szukajcie ich cierpliwie. Dziękuję za uwagę! ●

Jarosław Nowosad › Recenzje Poetyckie

Ratoń 2016

Paweł Podlipniak został laureatem pierwszej nagrody
XII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia.
Rozstrzygnięcie konkursu odbyło się 19 listopada 2016 roku
w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Olkusz.



Kazimierz Ratoń
Fot. Erazm Ciołek

Przypomnijmy: Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia odbył się po raz pierwszy w 2005 roku. Pierwotna inicjatywa wyszła od trzech olkuskich poetów – Olgerda Dziechciarza, Sławomira Elsnera i Łukasza Jarosza – zafascynowanych twórczością Ratonia (i poniekąd oburzonych faktem, że władze rodzinnego Sosnowca odmówiły uczczenia pamięci swego wielkiego krajana). Konkurs zorganizowała Galeria BWA wspólnie z periodykiem literackim „Fraza” – te dwa podmioty do dziś zgodnie współpracują przy kolejnych edycjach imprezy. Od jedenastu lat (licząc od pierwszego rozstrzygnięcia) konkurs odbywa się regularnie. W tym czasie zyskał ważne miejsce na literackiej mapie Polski. O zainteresowaniu udziałem w konkursie niech zaświadczy fakt, że w tym roku nadeszło 90 zestawów wierszy tak z Polski, jak i spoza jej granic.

Uroczystość w BWA poprowadził jak zwykle Olgerd Dziechciarz. I jak zwykle rzecz zaczęła się od wystąpienia zawierciańskiego pisarza Bogdana Dworaka, który przybliżył zebranyemu patronowi konkursu. Choć Dworak, podobnie jak Kazimierz Ratoń, pochodzi z Zagłębia, autora „Pieśni Północnych” poznał w Warszawie, gdzie przez wiele lat mieszkał. Sporo mógł zatem powiedzieć o ciężkiej sytuacji poety, o jego problemach z zameldowaniem w stolicy, o biedzie, chorobie. Przede wszystkim jednak mówił o miejscu, jakie twórczość Ratonia po latach zapomnienia zyskuje sobie w historii dwudziestowiecznej literatury polskiej.



Fot. Agnieszka Zub

Stałą prelegentką na rozstrzygnięciach kolejnych edycji konkursu jest od kilku lat dr Magdalena Boczkowska – pierwszy i, jak dotąd, jedyny biograf Kazimierza Ratonia. Z jej tegorocznego wykładu można się było dowiedzieć o pewnych dość odrażających szczegółach choroby i śmierci poety. Ratoń cierpiał bowiem na gruźlicę, dodatkowo „wspomagana” fatalnymi warunkami mieszkaniowymi i, niestety, alkoholizmem. Skłócony ze środowiskiem literackim i z rodziną, zmarł na przełomie grudnia 1982 i stycznia 1983 w tak zupełnym opuszczeniu, że dziś nawet nie da się ustalić dokładnej daty jego zgonu. Wykładowczyni zwróciła uwagę na jeszcze jeden nieśmieszny fakt: grób poety na cmentarzu w Wólce Węglowej nie tylko znajduje się w fatalnym stanie, ale na dodatek miejsce zostało opłacone tylko do 2020 roku! Konieczna jest interwencja, inaczej miejscu spoczynku Ratonia grozi likwidacja.

Kolejnym stałym punktem finału konkursu im. Ratonia jest wieczór autorski zeszłorocznego laureata głównej nagrody. Zasadą konkursu jest bowiem, że zdobywca pierwszego miejsca zobowiązany jest dostarczyć

organizatorom materiał na tomik wierszy (jak dotąd, tylko jeden nagrodzony autor wyłamał się z tej zasady – później załował!). Książkę wydają wspólnie kwartalnik „Fraza” i oficyna Galerii Literackiej przy BWA w Olkuszu. W tym roku zaszczyt promowania swojego tomu przypadł w udziale Marii Tomczyk-Maryon. Poetka, na co dzień zamieszkała w Norwegii, odczytała dużą partię bardzo ciekawych wierszy z nowo wydanej zbioru *Sto par bytów*.

Zgodnie z uświęconą tradycją wszelkich konkursów literackich, przed odczytaniem werdyktu jurorzy omówili poziom tegorocznej edycji, zdradzając również niektóre tajemnice pracy komisji konkursowej. Tym razem jury tworzyli: Magdalena Rabizo-Birek (redaktorka „Frazy”), Sylwia Miłkowska (krytyk literacki) i Krzysztof Śliwka (poeta). Dowiedzieliśmy się między innymi, że autorzy, którzy znaleźli się w gronie „zaledwie” nominowanych, to nierzadko osoby zgłoszone przez jednego z jurorów do pierwszego miejsca, a pominięte przy rozdziale nagród i wyróżnień z powodu różnicy zdań w toku obrad komisji.

Przyszła wreszcie pora na rozdanie nagród i – odczytanie nagrodzonych wierszy. Jak już było powiedziane, pierwsze miejsce zajął Paweł Podlipniak – autor kilku tomów poetyckich, z których jeden, „Madafakafarez”, ukazał się w firmowanym przez olkuską galerię BWA cyklu „Galeria Literacka”. Dominantą nowych wierszy Podlipniaka jest patriotyczna refleksja w tonie lekko zjadliwej satyry. Utwory te mogą się podobać dzięki finezyjnym grom słownym i bardzo sprawnej – a rzadkiej we współczesnej poezji – rytmizacji. Na uwagę zasługują również laureaci dalszych miejsc – odpowiednio: Mariusz Ropczyński i Radosław Lach – i autorzy wyróżnieni.

Generalnie, po zapoznaniu się z pokłosem konkursu (jak i z tomikiem zeszłorocznej laureatki Marii Tomczyk-Maryon) odnoszę wrażenie, że w nowej polskiej poezji dokonuje się przemiana. Zauważalny jest odwrót poetów od hermetyzmu w stronę komunikatywności. Być może współczesnym twórcom po prostu znudziło się czarowanie czytelnika nagromadzeniem skomplikowanych metafor, oderwanych obrazów, rozsypanych elementów mozaiki. Zamiast tego, starają się – jak to czynili ich dawni poprzednicy – mówić o sprawach ważnych w sposób jasny, klarowny, a przecież daleki od banału i trywialności.

Jakie są efekty tych starań – oceńcie sami.

Wyniki konkursu:

Po lekturze 90 nadesłanych i spełniających wymogi konkursowe zestawów wierszy, decyzją jury z 19.11.2016 roku:

I miejsce otrzymał Paweł Podlipniak (Radom), II miejsce – Mariusz Ropczyński (Nowy Sącz), III miejsce – Radosław Lach (Kobylniki).

Jury uhonorowało również trzy osoby wyróżnieniami: Joannę Fligel (Bielsko-Biała), Marcina Królikowskiego (Warszawa) i Agnieszkę Cebo (Kraków; ur. w Olkuszu). Zwyczajowo jury wskazało też osoby nominowane do nagród i wyróżnień. Znaleźli się wśród nich: Grzegorz Wołoszyn (Stalowa Wola), Ewa Włodarska (Tykocin), Maciej Filipek (Dęblin) oraz Dominik Piotr Żybertowicz (Bonin). ●

I Nagroda: Paweł Podlipniak Widokówka z gorszego świata

Barańczakowi. Post mortem

dobrze, że cię tu nie ma. jesteś teraz w punkcie,
z którego masz codziennie najlepsze widoki,
tu świat gorszego sortu – chociaż można uciec
po zatrzaśnięciu oczu daleko w głąb głowy.
reszta? milcząca próżnia, rozdęte coś w górze,
głuche na rozpaczliwe prośby i modlitwy,
co ma nas w trzech literach, bo stworzone cudnie
przez zachłannych pasterzy tępej jagnięciny.

dobrze, że cię już nie ma. zawierasz się w słowach,
pomiędzy okładkami, wśród zbutwiałych pól,
i nie wiesz, jak to boli, kiedy nie rozmowa,
ale pięść jest środkiem do zgłębiania sumień,
a wraz z nią zwykłe kłamstwo, obrzucanie błotem
w imię najwyższych racji, absolutnej władzy
nad zwykłym strzępem sukna, wstydlive czerwonym,
dla żartu rozpostartym pomiędzy rzekami.

dobrze, że cię tu nie ma. to rodzaj dystansu
wciąż niedostępny dla mnie. puenta to granica
za jaką jest marzenie o byciu wygnańcem
w ciepłym zakątku świata, skąd można by wysłać
widokówkę bezsłowną, zamiast komentarza
pełną jasnej przestrzeni, gdzie nikt nie zatrzaśnie
moich ust ani oczu dłonią, co zamarzyła
przy lepieniu bałwanów z politycznej baśni,
co zasnęły wraz z zimą w biegnących szeregach
po mruczance chochoła. dobrze, że cię nie ma.

II Nagroda: Mariusz Ropczyński Cienie i kształty

Jezioro cichnie, paruje. Poranna mgła skrzątnie
skrywa stare odrapane czołno. Mężczyźni uwijają się
szybko, starszemu sprawia to już jednak trudność.
Oddech do granic nagina ciszę, usta chciwie chłoną sól.
Za chwilę zza trzciny wystrzeli słońce; surowe światło,
które wiernie zaokrągli cienie i kształty.
Obraz na moment otrze się o rzeczywistość.

Byłem tam. To wspomnienie trwa nadal. Boli,
jak żadne. Jest w tym jakiś sprzeciw, bunt, upór dziecka,
które ze złością odkłada na bok darowaną lalkę.

Nowy Sącz 8-10 IX 2016

III Nagroda: Radosław Łach Bryła sztywna

Z łóżka warto przenosić się tylko do wanny.
Pociąga mnie nieistnienie. Zatrzymanie.
Zanik mięśni i kiwanie głową.
Kamera! Brak akcji..
Czyste formy są statyczne.
Czyste czyny nie są osiągalne.

Mam pięć stopni swobody,
ostry wzrok wbity w jeden punkt.
Odkształcam się, kiedy czytam,
wszystko rozgrywa się w umyśle,
czyli nigdzie i nawet tam
na początku nie było niczego.

Działać, to znaczy wprowadzać chaos,
wsadzać kij w mrowisko, grzebać w kodzie.
Aktualny stan rzeczy jest nienaturalny.
Lunatykuję, bo nie mogę wiecznie spać.
Stawiam opór wewnątrz.
Czekam na lincz.

To wszystko dzieje się zbyt szybko.
Nie chce mi się uczestniczyć,
być częścią większej całości.
Nie chcę żyć i umierać w biegu.
Zwalniam w pośpiechu. Odrywam się.
Nie interesują mnie ruchy odgórne,
ruchy oddolne, kroki taneczne.
Transporty ciał. Wędrowne cyrki.
Procesje. Akrobacje. Animacje. Transakcje.

– A wakacje? (Zapytał nieśmiało ktoś z tłumu)

Turystyką i rekreacją nie wypełnię pustki.
Jestem upokorzony przez dynamikę.
Z motoryki bawią mnie jeszcze tylko
ruchy pozorowane, obrotowe i frykcyjne.

Płytko, wybaczenie, ale nie chcę poruszać się po głębi,
mam takie same ambicje jak każdy trup,
który dojrzał do tego by wypłynąć na powierzchnię.

Jarosław Nowosad › Recenzje Poetyckie

Z Kariną Stempel krążąc po Nome

W połowie roku 2015 Karina Stempel zadebiutowała zbiorem wierszy pt. *Rok Drewnianego Konia*. Dodajmy: był to bardzo udany debiut. Teraz utalentowana wolbromianka powraca z nowym tomem – jeszcze lepszym, bardziej spójnym i... mroczniejszym.



Karina Stempel: *Noc w Nome*; Fundacja Duży Format; Warszawa, 2016. Wiersze, które złożyły się na książkę, zostały nagrodzone I miejscem (w kategorii: Po Debiucie) w 4. Ogólnopolskim Konkursie na Tomik Wierszy, organizowanym przez Fundację

Rok *Drewnianego Konia* jest pod względem konstrukcji dość typowym tomikiem utworów poetyckich. I owszem, to bardzo dobry tomik. Prezentuje dojrzałą, spójną poetykę świadczącą, że autorka ma już za sobą etap poszukiwań własnego „oblicza” literackiego. Co więcej, uważny czytelnik wyłowi z tamtej książki gamę interesujących poetkę tematów. Niemniej jest to zbiór osobnych liryków nie połączonych wyraźną myślą przewodnią (może oprócz powracającego motywu ryby, zresztą kontynuowanego w nowym tomie).

Drugi tomik Kariny Stempel, *Noc w Nome*, potwierdza wszystko, co można było powiedzieć o pierwszej książce (pisałem o niej na łamach „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”). Zarazem stanowi świadectwo ciągłego doskonalenia literackiego „warsztatu” przez autorkę.

Już w debiucie wyczuwalna była skłonność do rytmizacji toku wiersza. W nowym tomie rytm stał się jeszcze wyraźniejszy. Zaledwie dwa utwory, „Ciemna woda” i częściowo „Łuska”, oparte są na luźnej, powiedzmy: „różewiczowskiej” rytmice. Pozostałe wyraźnie, choć w różnym stopniu,

nawiązują do tonizmu. Strofy, z reguły czterolinijkowe, charakteryzują się swobodnym przepływem zdań przez wersy, z częstymi przerzutniami. Wiersze są dzięki temu bardzo melodyjne, a jednocześnie swingowo „rozkołysane”, chwilami przypominając bardziej śpiew niż mowę: „Skrapla się ciało dnia. Zachód jest wodą / po pędzłach – stojącą i gęstą. Każdy kolor / rozchodzi się w nim jak galaktyka. Dotykam / tego miejsca, głębia ma pełnię i nów” („Una cancion desperada”). Czasami, jak np. w wierszu „Choćby”, poetka świadomie bawi się urywaniem rytmu poprzez wprowadzenie cezury.

Równie konsekwentnie autorka rozwija swoją charakterystyczną, „dwustopniową” metaforykę. Praktycznie wszystkie wiersze z tomu są rozbudowanymi peryfrazami przy użyciu licznych metonimii. Z tworzywa nieoczywistych symboli poetka buduje ciągi odległych skojarzeń. Najprostszy przykład: przez cały wiersz „Blue Sky” poprowadzony został wątek padającego i topniejącego śniegu, w poincie stając się paralełą do ludzkiego życia, ograniczonego w czasie narodzinami i śmiercią. Zwykle jednak łańcuchy asocjacji nie biegną tak prosto. Dobrą tego ilustracją może być liryk pt. „Refren”. Motyw zimy prowadzi do obrazu lodu, czyli „skamieniałej wody”. Ta zaś co najmniej od czasów Heraklita bywa sym-

bolem przemijania. Konkluzja: w poincie podmiot liryczny postrzega sam siebie jako pokrytą łuskami rybę lub syrenę.

Nadążanie za tokiem skojarzeń, pełnym ciągłych przeskoków, może początkowo wydawać się czytelnikowi trudne. Dlatego istnieje niebezpieczeństwo, że nieuwważny odbiorca uzna tę poezję za hermetyczną. Cóż, z pewnością tomik *Noc w Nome* jest nieco trudniejszy w odbiorze od swego poprzednika. Wszakże jeśli, uruchomiwszy wyobraźnię, z uwagą śledzimy kolejne obrazy i gry słowne, nie dając się „uśpić” rytmowi wiersza, wówczas intuicyjnie chwytny jego sens.

Prawdziwym novum w porównaniu z debiutem poetki jest natomiast konstrukcja tomu. Książka stanowi całość, choć nie na tyle zwartą, by można było nazwać ją poematem. Zarazem nie jest to już tylko zbiór oddzielnych wierszy. W świecie muzyki nazwalibyśmy taką formę concept-albumem, w literaturze nieprecyzyjnie określa się ją jako „cykl”.

Podstawowym zabiegiem, nazwijmy go tak, „scalającym” jest wprowadzenie do tomu stałej postaci o imieniu Matyllda, pełniącej rolę już to podmiotu, już to bohatera lirycznego większości utworów. Oczywiście, nie jest to pomysł całkiem nowy; we współczesnej poezji zapoczątkował go bodajże Brian Patten, w Polsce – Zbigniew Herbert. Posłużenie się „zewnątrznym” podmiotem, „Panem Cogito”, służy najczęściej podkreśleniu dystansu między wierszem a osobą poety. Sygnalizuje odejście od stereotypu „liryki osobistej” w stronę obiektywizmu właściwego epice.

Oprócz przewodniej postaci, autorka wprowadziła wyraziste leitmotywy. Nome na Alasce jako „miejsce akcji”, liczne odniesienia do kultury Inuitów zamieszkujących tytułowe miasteczko – nie są jedynie efektownymi inkrustacjami, ekscentrycznym sztafażem. Długotrwała noc polarna i wszechobecny chłód stanowią metaforę wszechobecnej tajemnicy i towarzyszącego jej lęku. Tajemnica i lęk – te dwa motywy budują sytuację liryczną prawie każdego kolejnego wiersza.

Powiedzmy wprost: *Noc w Nome* przepełnia obsesja śmierci. Odniesienia do niej w większości utworów są bezpośrednie; w prawie wszystkich pozostałych czają się gdzieś w podtekście. Czasami chodzi o śmierć konkretnej osoby – np. „Velvet Goldmine” to, zgodnie z tytułem, epitafium dla Davida Bowiego. Najczęściej wskazuje się tu do uogólnienia, do esencji. Jak postrzegamy umarłych, jak odnosimy się do własnej śmiertelności? Pozornie egzotyczna kultura Inuitów okazuje się nam bliższa i bardziej uniwersalna niż chcielibyśmy sądzić. „Jednorazowość” ludzkich imion („One”), przemilczanie umarłych („Niewinne słowo nie istnieje”, „Oduracamy się”), słowem – tabuizacja śmierci jest czymś, co znamy aż nadto dobrze.

Już na początku tomu zasygnalizowane zostają dwie chyba najistotniejsze w nim metafory. Otwierający książkę liryk „Lewa strona Matylldy” wprowadza obraz krążenia po kole lub spirali wznoszącej: „Tymczasem // ona wspina się po schodach / albo z nich schodzi. A może / ciągle krąży po obwodzie wieży, / malutkiej wieży w malutkim świecie, // o którym piszą inni”. Spirala wznosząca jest motywem znanym w kulturze Orientu (np. w indyjskiej muzyce stanowi regułę konstrukcyjną ragi; w jodze – symbol doskonalenia poprzez powtarzanie ćwiczeń). Ale wznoszenie może

być złudne, bo z kolei w zachodniej kulturze obchodzenie czegoś wokół – to obraz bojaźliwego unikania sedna. Motyw chodzenia w koło pojawia się w tomiku wielokrotnie. Tak funkcjonujemy w obliczu lęku przed śmiercią, ale również przed... samopoznaniem. Wiersz „Ciemna woda” oparty jest na metaforze wody zalewającej piwnicę (zwykłą alegorię podświadomości, ale w literaturze doby romantyzmu – również symbol krajiny umarłych). Do piwnicy prowadzi „drzwi bez klucza” (czyli albo zawsze otwarte, albo nieustannie zamknięte). „Są takie miejsca, z których / nie można pić, / choćby słowa pęczniały w nich / jak usta” – brzmi pointa. Pewnych tajemnic nie możemy, bądź tylko nie chcemy odkryć.

Jednak trzeci w tomie, tytułowy wiersz odsłania całkiem inne znaczenie okrażania rzeczy i spraw. Mówi o funkcjonowaniu w ciemności, w której trzeba „patrzeć / na wyciągnięcie rąk, zataczać // koła i trzymać się ścieżek w lodzie”. Niewidomy, obmacując przedmiot, poznaje go poprzez dotyk i buduje w swym umyśle coraz precyzyjniejszy obraz nie widzianego. Identycznie zbudowane są wspomniane wyżej ciągi skojarzeń, stanowiące jednak zasadę konstrukcyjną wierszy Kariny Stempel. Kolejne metafory, obrazy, napomknienia „krążą” wokół tajemnicy. Pozornie nawet jej nie wspominając, w istocie mówią o niej coraz to więcej i więcej.

Myli się ten, kto sądzi, że ton nowych wierszy poetki jest ponury. Nie, bo wiele tu ironii, dystansu, czasem swoistych żartów. Weźmy choćby utwór „Matyllda lewicuje”, oparty na grze słownej: „lewicować” – „lewitować” (gdzie to drugie wydaje się być symbolem przyjemnego, lecz przemijającego oderwania od rzeczywistości). Z kolei w wierszu „Z nieodbytej podróży do Chile” żal z powodu niemożności poznania wszystkiego, co chcielibyśmy w życiu poznać, skryty został za zasłoną łagodnego pastiszu literackiego.

Ostatecznych odpowiedzi nie ma, bo być ich nie może. Przed tajemnicą nie da się uciec: „Postanawiamy założyć Nowe Nome, / ale z nazwą zabieramy echo” („Głosy”). Nie da się jej też rozwikłać: „język umarłych jest martwy. Można / zapośredniczać go bez końca, nie znając / paradygmatu” („Język umarłych”).

Ostatni w tomiku wiersz, „Geometria nieeuklidesowa”, jest dwuznaczny. Matyllda wychodzi poza koło, udając się w drogę. Nie wiadomo, czy chodzi o podróż eschatologiczną (transcendencja?), czy jedynie o pożegnanie z obsesją, odmowę dalszego „krążenia wokół niej”. Pozostaje czekać na kolejny tomik, by przekonać się, czy Matyllda powróci, a jeśli tak, to w jakiej roli.

Czas oczekiwania nie powinien się dłużyć. Wiersze z *Nocy w Nome* wymagają wielokrotnej lektury. Za każdym odczytaniem głębiej unikamy w ich wielowarstwową metaforykę, odkrywając kolejne sensory. Z tą książką trzeba po prostu dłużej pobyt, warto też do niej wracać.

Nowy tomik Kariny Stempel świadczy o jej konsekwencji w podążaniu obraną drogą. Jest równocześnie świadectwem znaczącego postępu na tej drodze. Przykładem, że rozwój osobowości twórczej nie musi sprowadzać się jedynie do stałego doskonalenia technik pisarskich. Równie istotne jest ciągłe dookreślanie własnego, oryginalnego stylu. ●

Jarosław Nowosad > Recenzje Poetyckie

To wszystko dzieje się naprawdę

O poezji Łukasza Jarosza



Łukasz Jarosz
Fot. Andrzej Banaś

Łukasz Jarosz: *Święto żgugych* (2006-2016);
Biuro Literackie, Stronie Śląskie – Wrocław 2016



1

Mam pisać o wierszach, o których w znacznej mierze już pisałem. Takie powroty są zawsze okazją do spojrzenia tzw. „świeżym okiem”, a więc do weryfikacji uprzednich sądów. W niniejszej recenzji nie uniknę więc zaprzeczania temu, co niegdyś napisałem, ani też powtórzenia wielu wcześniejszych myśli. W takich przypadkach jest to nieuchronne.

Najnowsza książka Łukasza Jarosza, zatytułowana *Święto żywych*, imponuje. Gruby tom, gromadzący w jednej okładce całokształt dotychczasowej twórczości poety, zawiera ponad 400 wierszy! Liczba ta oszałamia tym bardziej, kiedy uświadomimy sobie, że ów retrospektywny zbiór ukazuje się zaledwie 10 lat po wydaniu debiutanckiego tomiku. W ciągu dekady – a zatem w czasie, w którym trudno w ogóle przebić się do literackiego świata – Łukasz Jarosz zdążył wydać osiem tomów wierszy, zostać dostrzeżonym (mało tego, pochwalonym) przez czołowych krytyków, znaleźć się w obcojęzycznych antologiach, być nominowanym do

nagród Nike (dwukrotnie) i Orfeusza, a także zdobyć nie mniej prestiżową Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej. A teraz, nie skończywszy nawet czterdziestu lat, ma już swoje wiersze zebrane! O ile w naszych mało poetyckich czasach można mówić o czymś takim, jak sukces poety, to tutaj mamy wyjątkowo jaskrawy przykład takiego sukcesu.

Co również warto podkreślić, autor nie poprzestał na przypomnieniu wszystkich wierszy z wydanych uprzednio tomików. Ostatnia, tytułowa część tomu *Święto żywych* przynosi 46 nie drukowanych wcześniej utworów Jarosza, a więc jest de facto nowym zbiorkiem, od razu włączonym do przekrojowego zestawu. W związku z tym pojawiła się wątpliwość, czy właściwie nie powinienem napisać dwóch recenzji. Pierwszej, która dotyczyłaby retrospektywnej części wydawnictwa, zawierającej tomiki, o których (z jednym wyjątkiem) już przecież pisałem. Drugiej – omawiającej premierowy materiał.

2

Jeżeli po przeczytaniu całości zrezygnowałem z powyższego pomysłu, to nie tylko z lenistwa. Ponowna lektura wszystkich tomów (które pierwotnie poznawałem w miarę ukazywania się, a więc w pewnych odstępach czasowych) pomogła mi całościowo spojrzeć na twórczość poety. To z kolei jeszcze bardziej uprzytomniło mi fakt, z którego i tak od dłuższego czasu coraz bardziej zdawałem sobie sprawę. Łukasz Jarosz jest mianowicie twórcą wyjątkowo konsekwentnym (kiedyś porównałem go pod tym względem do zespołu The Rolling Stones). Gdyby ze spisu treści *Święta żywych* usunąć tytuły poszczególnych tomików (nie wyłączając najnowszego), a z tekstu – ich strony tytułowe, granice między kolejnymi zbiorami uległyby zatarcu. Owszem, wciąż dałoby się prześledzić oczywistą ewolucję tej poezji, lecz nie dostrzeżelibyśmy żadnych prawdziwie rewolucyjnych przełomów.

Jakim poetą jest Jarosz? Najkrócej i w uproszczeniu: należy do tego nurtu w polskiej literaturze, który bierze swój początek z *Pana Tadeusza* i *Sonetów odeskich*. Tworzy zatem poezję, nazwijmy ją tak, „gawędziarską”, bynajmniej nie w pejoratywnym tego słowa znaczeniu. Realizm, obrazowość, rozmówienie w opisie, wręcz skłonność do delektowania się rzeczywistością, a zwłaszcza jej szczegółami, oszczędne użycie metafor – oto naczelnne cechy takiego pisarstwa. „W garnku uparowane ziemniaki

dla świń. / Zapach gotującej się ziemi. (...) Wracam do pracy; wyrzucam gnój, przekopuję ogródek. / Droga jadą Cyganie, wiozą swoją krew, pot i dywany” – czytamy w wierszu zatytułowanym „Proch”.

Równorzędnym źródłem stylu Jarosza jest (pokrewny, wbrew pozorom, wyżej wymienionemu) nurt wywodzący się z wierszy O'Hary, a rozwinięty w twórczości bitników oraz liverpoolczyków. Szkoła ta wniosła do współczesnej poezji skrajny subiektywizm percepcji – a stąd również zatarcie granic między epiką i liryką! – oraz dynamizację rytmu, wzorowaną na jazzie. Istotnie, prawie wszystkie utwory Łukasza Jarosza odznaczają się rytmiką intonacyjną. Nawet nie intonacyjno-składniową, liczne bowiem są w jego wierszach przerzutnie, dynamizujące (a zarazem prozaizujące) tok wiersza. Czytanie tej poezji przypomina słuchanie wypowiedzi pospiesznej, na rwanym oddechu. Nie ma tu „mowy uroczystej”, jest mowa dążąca do zwyczajności. A przecież nie tracąca przy tym swoistej melodii, uwydatniającej się szczególnie przy głośnej deklamacji. „Zbliża się noc, nad łąkami poziomo wisi / bordowy pręt słońca. Do wsi wchodzi pielgrzymka / i przy furtkach zaczynają ujadać psy” – to cytat z utworu pt. „Nów”. Rzadkie, ale też udane, bywają „wypadki” Jarosza w kierunku poezji tradycyjnie zrytmizowanej, czy nawet rymowanej, jak choćby *świećta „Kochanka Grochowiaka”*.

3

Zwyczajność nie dotyczy tu jedynie samego toku wypowiedzi. Zwyczajne, powszednie – przynajmniej na poziomie dosłownym – są sprawy, o któ-

rych traktuje. Świat tej poezji, świat jej podmiotu lirycznego w znacznej mierze pokrywa się ze światem samego autora, nauczyciela z Żurady.

Rodzina wieś i pobliski Olkusz, okoliczne lasy, jezioro, ludzie, zwierzęta, żona, córka, rodzice, szkoła i uczniowie, wyjazdy w góry, a także przykuwające uwagę detale – pleśń na marynacie, kłujące okruszki na prześcieradle, zardzewiały breloczek, etykieta na bochnie chleba, kawałek skorupki jajka w szklance – o tym się tu opowiada. Wiersz stanowi rodzaj zapisu medytacji w zenistycznym tego słowa rozumieniu. Inaczej mówiąc, jest wyrazem czystej obserwacji zarówno tego, co się wokół dzieje, jak wszystkiego, co się samemu robi i o czym myśli. „To wszystko dzieje się naprawdę” – konstatuje poeta w poincie wiersza „Jadąc samochodem do szpitala powiatowego”.

Szczególnie jaskrawym przykładem tego, o czym mowa, jest bardzo szczególnie stosunek Jarosza do historii. To zresztą temat na oddzielny (i, być może, równie obszerny) artykuł. Jedno trzeba zaznaczyć: podejście poety do przeszłości jest równie osobiste i bezpośrednie, jak do teraźniejszości.

4

Z tego, co powiedziałem wyżej, ktoś mógłby wysnuć wniosek, że mamy do czynienia jedynie ze zręcznym naśladowcą Jacka Podsiadły, szczególnie jego utworów z pierwszej połowy lat 90. Podobne odczucie mógł mieć pobieżny czytelnik wydanej w 2006 roku *Somy*, debiutu Jarosza. Uważniejsza, bardziej analityczna lektura już tych wczesnych wierszy obnaży nam jednak mylność takiego powierzchownego wrażenia. Po pierwsze Jarosz jest innym poetą niż Podsiadły, inaczej postrzega świat i samego siebie, w inny rytm układa też słowa, a ponad wszystko od początku jest bardziej lapidarny. To dykcja i stylistyka radykalnie odmienne od tego, do czego przyzwyczaił nas autor *Arytmii*.

Co bodajże jeszcze ważniejsze, Łukasz wymyślił, a potem rozwinął własny sposób prowadzenia poetyckiej narracji. Jego wkładem w nurt poezji, o którym mowa, jest metoda ciągu skojarzeń, wyrażonego poprzez specyficzną formę strumienia świadomości. Specyficzną, bo Jarosz – w odróżnieniu od choćby Joyce’a – nie próbuje zarejestrować całego procesu myślowego, prowadzącego od jednej konotacji do drugiej. „Minuty równo wymierzane. Jak patyczek, / który matka brała do sklepu, by kupić mi odpowiednie buty. / Obok taczka z zaschniętym cementem. Schody – tu, podczas / mrozu, moja suka urodziła martwe szczenię” – czytamy w wierszu „Przędza”. Wprawny matematyk lub fizyk, przeprowadzając skomplikowane wyliczenia, nie zapisuje już wszystkich przekształceń wzoru, a tylko te najistotniejsze; pozostałe wykonuje w pamięci. Analogicznie postępuje Łukasz. Z całego pasma myślowych asocjacji wybiera jedynie te będące „kamieniami milowymi”. Tym samym zmusza czytelnika do wysiłku. Zamiast przejść po wierszu niby po kładce na drugi brzeg potoku, musimy wraz z poetą przeskakiwać ze skojarzenia w skojarzenie tak, jak skacze się po wystających z wody kamieniach.

Aby lepiej zilustrować powyższe, posłużmy się wierszem „Łuna”. Rozpoczyna się on pytaniem retorycznym: „Z jakiej części do siebie mówię?” oraz konstatacją: „Poeta jest stary, samotny, / w jego piecu wygasło”. Później następuje łańcuch obrazów: urwisko nad wybranym piaskiem, płomyk w piecyku gazowym nad zlewem, pracownica cukierni wydo-

Historia nie stanowi dla niego oglądu „wielkich wydarzeń” z obiektywizującego dystansu. Odwrotnie – podchodzi do niej subiektywnie, stwarzając wrażenie bezpośredniego oglądu, a nawet uczestnictwa. „Wchodzi” w historię poprzez wspomnienia członków rodziny (poemat „Długa podróż”), znajomych (cykl „Opowiadanie starego sąsiada”), wreszcie – wyobraźnię, gdy idzie o czasy odleglejsze (np. „Sicz”). Jeszcze bardziej ów „indywidualny wymiar historii” widać w „Opowiadaniu innego chłopca”. Wiersz ten napisany jest z punktu widzenia dziecka, które zwyczajną ucieczką z domu mimowolnie przyczyniło się do wybuchu tzw. pogromu kieleckiego. Historia zawsze jest historią poszczególnego człowieka.

Obserwacja – zarówno historii, jak teraźniejszości – przeplata się z uogólniającą refleksją. Związek między jedną a drugą najczęściej nie jest oczywisty, a raczej sugerowany, nie zawsze dający się zdefiniować.

bywająca z pieca wypiek. Pouraca stwierdzenie: „Poeta jest stary”, lecz rozwinięte całkiem inaczej: w piecu poety płonie tym razem sosnowy konar, a sam poeta zwija sznurek do wiązania snopków. O co tu chodzi?

Możliwe, że myśl wiersza biegnie takim tropem: wygaśnięty piec kojarzy się z jałowością. To przywołuje obraz pustyni, a więc piasku. Piasek z kolei przywodzi na myśl zaimprovizowaną piaskownicę pod urwiskiem. Takie urwiska często występują nad rzekami, czyli bieżącą wodą. Ta zaś sprowadza obraz kranu, zlewozmywaka, piecyka grzejącego wodę, a stąd myśl przeskakuje do pieca piekarskiego. Pieczywo powstaje z mąki, której nie byłoby, gdyby nie zebrano zboża – stąd sznurek do snopowiązałki. Na piachu, a więc i nad urwiskami, często rosną sosny – być może jedna wskutek erozji wybrzeża zvaliła się i wyschła, ktoś ją znalazł, pociął i napalił nią w piecu. Co tu jednak robi poeta?

Być może – to tylko moja hipoteza! – utwór ten jest ilustracją procesu twórczego. Obraz starego, samotnego poety przy wygasłym piecu wyrażałby stan tzw. niemocy twórczej, braku inspiracji. Sama myśl o tym wyzwała jednak pewien ciąg myślowy. I tak, jak w piecu piecze się ciasto, w umyśle twórcy dojrzewa poetycka wizja. Złożyły się na nią wywołane początkową myślą skojarzenia, podobnie, jak w cukierni mąka, woda, opał itp. „składają się” na kołacz lub blachę słodkich drożdżówek. Nagle poeta zdaje sobie sprawę, że notując ciąg asocjacji stworzył wiersz – choć wydawało mu się, że już nie potrafi – i ma uczucie spełnienia, jak rolnik, który zakończył pracę. Już jest spokojny, że w jego poetyckim „piecu” ogień nigdy nie zgaśnie – napotymane zdarzenia i wywoływane nimi myśli zawsze będą podsycaly płomień.

Uczynmy tutaj pewną dygresję. Kierunek literacki zwany autentyzmem zakorzenił w myśleniu wielu twórców i niektórych krytyków pewien szkolniwy mit. Jest nim przekonanie o tym, jakoby osobiste, niepowtarzalne przeżycie samo w sobie stanowiło wartość i... interesujący temat literacki. To błąd, na który złapało się więcej piszących niż czytających. Wartością dającą się przetworzyć w interesujące dzieło literackie jest nie tyle to, co

jednostkowe, lecz raczej to, co wspólne. Nie sam w sobie indywidualny los ludzki, lecz dopiero jego przekładalność na prawdy ogólnoludzkie czyni tekst dostępnym, czytelnym. Tak też właśnie dzieje się u Jarosza. Jego „ja i mój świat” w istocie obejmuje sobą także „ty i twój świat”, „on/ona i jego/jej świat” etc. Wspomniany wyżej wiersz „Łuna” kończy się obrazem płynących ponad domem poety chmur, które w świetle zachodzącego słońca wydają się płonąć. Ogień w piecu poety jest „miniaturą” równie realnego ognia na niebie (Słońce z naukowego punktu widzenia – to wszak nic innego, jak ogromny piec chemiczny). Tak samo czytelnik może w losach bohatera literackiego dojrzeć odbicie swoich losów. Nad jednymi i drugimi płonie to samo „słońce” ogólnoludzkich prawd, zwanych archetypami – niezależnie, czy autor wiersza lub prozy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie. Od jego talentu, umiejętności i pracy zależy, czy to, co indywidualne, będzie mogło zostać uogólnione. A nie mam wątpliwości, że twórczość Jarosza – przy całym swym indywidualizmie – jest bardzo uniwersalna, mimo pozorów niekomunikatywności.

Przypomnijmy: myśl poety „skacze po kamieniach” i chcąc za nią nadążyć, musimy dokonywać podobnych przeskoków. By zaś bezpiecznie skakać z kamienia na kamień, trzeba być bardzo uważnym, inaczej możemy się skapać w zimniej wodzie. Niebezpieczeństwo jest tym większe, im dalej

od siebie znajdują się poszczególne kamienie. Przeskoki skojarzeniowe Jarosza bywają zaś bardzo odległe. Jak na razie, ich apogeum nastąpiło w utworach kończących tomik *Biały tydzień* (2007) – w szczególności mam tu na myśli „Podróżników” i „Taniec Świętego Wita” – oraz w prawie wszystkich z kolejnego tomu: *Mimikra* (2010). Istnieje zatem duże niebezpieczeństwo, że dostrzeżemy w tych wierszach jedynie chaotyczność, wyrywkowość wizji, a nawet świadomy hermetyzm. Tak właśnie „skapał się” piszący te słowa, gdy po raz pierwszy przeczytał *Mimikrę*. Uznałem się wtedy za całkowicie niezdolnego do „ugryzienia” tego tomu, w rezultacie odmówiłem jego recenzowania (co z poezją Jarosza przydarzyło mi się, jak dotąd, po raz pierwszy i ostatni). Przez kolejnych 6 lat uważałem *Mimikrę* za „obce ciało” w twórczości poety.

A to przecież nadal ten sam Łukasz Jarosz, tyle, że pozwolił sobie na dłuższe przeskoki. Jarosz, którego podmiot liryczny dźwiga tyleż indywidualny los człowieka, w tym poety, co wspólny los ludzi. Dualizm ten został celnie ujęty w wierszu „Uświęć siebie” (z rzeczonego tomu), gdzie pojawia się obraz pielgrzyma niosącego „twardy wrzynający się w łopatki głośnik” (niosłem parę razy to ustrojstwo; lekkie w noszeniu nie jest). Dobra metafora miejsca artysty i sztuki w „pielgrzymce”, którą jest życie.

5

Przywołując wiersz „Uświęć siebie”, tym samym otwieramy obszerny temat motywów sakralnych i biblijnych w poezji Jarosza. Weźmy choćby same tytuły niektórych wierszy: „Biały tydzień”, „Żydowski król”, „Niedziela Palmowa”, „Wiara Nadzieja Miłość”, „Grzech”, „Sługa Boży”, „Dies irae”, „Vanitas”, „Jutrznia”...

Nie zagłębiając się nadmiernie w ten temat, trzeba stwierdzić jedno. Twórczość Łukasza nie jest poezją stricte religijną, przynajmniej w takim sensie, w jakim są nią np. wiersze ks. Twardowskiego. Nie stanowi jednoznacznego wyznania wiary w jakąkolwiek ponadnaturalną rzeczywistość. Bywa nawet próbą jej zaprzeczenia – szczególnie we wcześniejszych wierszach. „Chciałem zobaczyć kulistą duszę świata” – te słowa z wiersza bez tytułu, otwierającego książkę *Biały tydzień*, powtarzają się w nim dwukrotnie – jako incipit i początek ostatniej strofy. Podmiot liryczny w dzieciństwie poszukiwał „ducha wszystkiego” – Boga? – tak, jak średniowieczni alchemicy poszukiwali „dusz” substancji chemicznych, „ducha materii”. Jednakże nawet kiedy już niebo wyszło mu na spotkanie, miało „kolor rozkranej wątroby” (w późniejszym utworze „Wyjście” przybiera ono barwę „psiego podniebienia”). Zamiast „duszy” odnajdywał więc jedynie „ciało”. Podkreślają to również tytuły dwóch innych tomików: *Soma* oraz *Świat fizyczny*.

Postrzeganie świata jako ciała, a więc organizmu, to także jeden z powracających u Jarosza motywów. W jednym z krótkich wierszy z cyklu „Wrzesień, wiązania” napotykam „leżące w trawie płuco i serce tego świata – / poszarpany miech, przepasany zębatką bęben betoniarki”; w „Panoptikum” „Wiało, / na całą okolicę rozrastało się oskrzelowe drzewo”. Gdzie indziej („Wiersze miłosne”) zasilacz golarki to „ciężkie, kwadratowe serce”. Świat nie ma „ducha”, jest w stu procentach „fizyczny”.

Słowa „Chciałem zobaczyć kulistą duszę świata” powracają raz jeszcze – na początku „Tańca Świętego Wita”, kończącego tomik *Biały tydzień*. Można ten kolejny „strumień świadomości”, w którym nawiązania do Biblii, mitologii i Norwida mieszają się z migawkami na pierwszy rzut oka zupełnie oderwanych zdarzeń i sytuacji, potraktować jak próbę oddania w poezji majacej gorączkującego pacjenta. To możliwa interpretacja, lecz nie jedyna możliwa. Sama gorączka może bowiem stanowić metaforę gorączkowego procesu myślowego, prowadzącego jeśli nie do utraty, to do załamania (lub przynajmniej nadwątlenia) wiary religijnej. W zakończeniu wiersza czytamy: „Widziałeś, jak woda przekłętnęła dziecko, koszyk płynie pusty”. Obraz dziecka w płynącym koszyku jest przejrzystą aluzją do ocalenia Mojżesza. Przedwczesna śmierć biblijnego proroka może symbolizować konstatację, że nie ma nikogo, kto mógłby wiarygodnie zaświadczyć o Bogu. Byłaby to deklaracja jeśli nie ateizmu, to z pewnością agnostycyzmu.

Nie przeszkadza to wcale poezji Jarosza być metafizyczną – w więcej niż jednym sensie.

Ponad wszystko wiersze te są metafizyczne w najbardziej podstawowym, „rdzennym” tego słowa znaczeniu. Metafizyka jest działem filozofii zajmującym się bytem jako takim, samym fenomenem istnienia. Zbiega się to ściśle z nadmienioną już „obserwacyjną medytacyjnością”, jako podstawową „substancją” tej poezji. „Fizyczność” świata i bytu nie implikuje przy tym braku w nich tajemnicy. Już *Mimikra* wielokrotnie rozgrywa wątek lochów i piwnic, przeciwstawiony motywowi światła. Później o tajemnicy mowa jest coraz bardziej explicite. „Życie jest ścianą (...), / która mnie czyta, którą czytam” – to z wiersza „Ściana”, uświadamiającego nieprzenik-

nioność rzeczywistości (niby kamienia z wiersza Szymborskiej). Możemy jedynie odgadnąć ją, obserwować, konstatować, ale nie rozumiemy. Co więcej, my dla której jesteśmy równie nieprzeniknieni.

Przypatrywanie się światu i jego rzeczom, rozmyślanie w szczegółach (typowe, jak już wyżej pisaliśmy, dla nurtu, z którego styl Jarosza się wywodzi) przybiera miejscami postać swoistego rozmodlenia, co bywa nawet explicit podkreślane. Tak w każdym razie można rozumieć choćby tytuł wiersza „Jutrznia” – zapisu wrażeń ze spaceru o zimowym poranku.

Owa swoista sakralizacja przybiera czasami formę bardzo dosłowną, w postaci dość szczególnego, świeckiego – jeśli nie panteizmu (jak w utworze „Próba światła”), to przynajmniej pansakralizmu. We fragmencie wiersza „Trzech Króli” Jarosz wpada wręcz w ginsbergowsko-

-stachurowski ton (por. odpowiednio: „Przypis do »Skowytu«” i „Sanctus”). „Poniżej święte włosy mojej śpiącej córki. / Święta ślina ciekąca z jej ust. Święte rozpad, nędza, / przepych i cisza” – w tej miniaturowej litanii poeta serwuje nam esencję swojej metafizyki. Święte jest to, co kochamy, a kochać należałoby wszystko... Albo spójrzmy na jeszcze późniejszy utwór „Lustro”: „Szukam dojścia do jeziora. (...) Potem zdejmuję z szyi córki kleszcza, / palę go z rachunkiem za telefon. / Jemy ciastka w kształcie ryb. / Pływają w nas”. Ryba – motyw wciąż powracający w całej twórczości Jarosza – w symbolice wczesnochrześcijańskiej symbolizowała, jak wiemy, Chrystusa. Poeta wydaje się nie odzygnąć od takich skojarzeń. „Rybak i mewa śledzą wzrokiem rybę, / wysokiego Boga” – pisze w „Zatoce”, również jednym ze swych najnowszych wierszy. Przy takiej optyce sytuacja liryczna staje się świeckim powtórzeniem Ewangelii: połów w jeziorze Genezaret, wypędzenie złego ducha i odesłanie go do piekła, wreszcie eucharystia.

6

O ile Biblia rzeczywistość stanowi dla poety jeden ze stałych punktów odniesienia – a wskazywałyby na to fragmenty nie tylko wymienionych tu wierszy – to można przypuszczać, że najczęściej zagląda on do Księgi Eklezjasty. Tytułowy utwór tomu *Kardonia i Faber* wygląda jak poetycki „katalog” przeszłych, wydawałoby się: zupełnie oderwanych zdarzeń, które pozornie spaja w całość jedynie „bitnikowska” anafora: „To wtedy, gdy”... Dopiero po chwili uświadamiamy sobie, co jest „tym” – a jest nim przemijanie. Bezsprzecznie jest ono największą obsesją literacką Jarosza i chyba jedynym motywem, który przewija się w każdym lub prawie każdym jego wierszu.

Płynące chmury, płynąca mgła, zbliżający się zmierzch, nadchodząca odwilż, przejeżdżający pociąg, ogień trawiący drewno, gnienie mięsa, czerzenie ziemniaczanych obierzyn, ludzie wchodzący do sklepu i wychodzący, wskazówki na tarczy zegara, kolejne święta, samolot przemierzający niebo, przyplływ i odpływ morza – takie i podobne motywy sprowadzają się do jednego: ilustrowania upływu czasu. Również przywoływane przez podmiot liryczny wspomnienia – dzieciństwa, czasów szkolnych i studenckich, zakończonych związków z kobietami (np. „Wszystko, za co powinniśmy być wdzięczni”) – pobrzmiewają tym samym: świadomością, że wszystko przemija. Nawet tak banalna czynność, jak palenie niepotrzebnych już papierów (patrz: „Gaszelnik”) przypomina o tym samym.

Szczególnie jednak dobitnie nietrwałość „rzeczy świata tego” wyrażona zostaje, gdy Jarosz pisze o śmierci. „Jeszcze należymy do tego świata. / Zwęzają się nam żrenice, gdy jezioro powtarza blask słońca, / gdy w oczy uderza jasny kwadrat otwartego okna” – to cyt z bardzo przecież wczesnego wiersza „Ćmy”. Stopniowo motyw śmierci coraz częściej powraca w kolejnych tomikach. Najwięcej jest go w dwóch wydanych w ostatnich latach: *Świat fizyczny* (2014) oraz *Kardonia i Faber* (2015). Pełno w nich pogrzebów (tryptyk „Górne światło”), wspomnień o zmarłych (np. „Piosenka kolonijna”), cmentarzy, uświadamiania sobie własnej śmiertelności. To ostatnie dobrze pokazuje „Wiersz na moje 34. urodziny”, w którym dwukrotnie pojawia się słowo „jeszcze”. Życie jeszcze jest, jeszcze trwa,

niczym prąd w kondensatorach odłączonego od kontaktu radia („Ostrzałnia”), zużywa się jak znoszone ubranie („Przekład”). Naznaczenie śmiercią widać w niewinnej z pozoru scenie kuchennej, opisanej w utworze zatytułowanym właśnie „Śmierć”, gdzie motywem tanatycznym okazuje się całkiem zwykłą czynność kucharska: rozbicie jajka. Nawet woda „Płynie do chciwego źródła – / w stronę śmierci” („Pole widzenia”). Wszakże najdramatyczniej ujmuje groźbę śmierci wiersz „Imperium”. Jawi się tu ona ekspansywnym mocarstwem, próbującym zagarnąć cały świat: „Imperium się rozrasta, imperium żąda, / by o nie dbać, by je karmić. Zostawia ślady – / styczeń, za chwilę odsłonią tablicę, położą kwiaty”. Nie chodzi przy tym jedynie o samą śmiertelność ludzkiej jednostki, lecz również o uwagę, jakiej „domagają się” zmarli od nas, żywych. Każą, byśmy pamiętali o nich, a przez to i o śmierci.

W najnowszych wierszach – tych ze *Święta żywych* – świadomość tego jeszcze mocniej się nasila. Czytając niektóre z nich, można mieć wrażenie, że imperium nie tyle wciąż się rozrasta, ile już jest wszechogarniające. Niby w ponurym songu zespołu Type O Negative, „wszystko umiera”. Rozmowa z sąsiadem, którego krewni zginęli w czasie wojny, przywołuje myśl: „w jego brzuchu, / pod pępkiem jak ping-pong fermentuje ciemność” („Rezerwat”). Dzwon remizy strażackiej, dla zabawy rozkołysany przez dzieci (vide: „Biegun”), budzi skojarzenie już nawet nie z dzwonem żałobnym; to po prostu „zimny, ciężki wołacz śmierci”. Świadomość znaczenia śmiertelnością powraca coraz bardziej dosadnie i – dotkliwie. Przemijanie, jako zapowiedź śmierci, widoczne jest wszędzie. To „robaki wtaczają mdłe, ciężkie słońce / na niebo; wchodzimy w spaloną blaskiem krainę. / Nosimy ból i miłość, łączą nas wieczna śmierć” („Rys”). To świat, gdzie „chaszczę przy torach / zarastają słońce. Drzewo i obłok nie znają / litości”. Bohater wiersza „Burty” – po drobnym w gruncie rzeczy wypadku, który jednak mógł być śmiertelny – konkluduje swe ocalenie gorzkim: „Śmierć odwróciła twarz, / przykneęła oczy, / lecz nadal mnie widzi”. Jeszcze mocniej prawda ta zostaje wyrażona w „Anabasis”: „przeziara przez nas śmierć”. Próba „bezpiecznego odwrótu” (do czego stanowi aluzję tytuł) od nieuniknionej klęski w starciu ze śmiercią jest

upamiętnienie siebie i innych na zdjęciu. Ale i tego skuteczność pozostaje niepewna – w pierwszej części wiersza inne zdjęcie (prawdopodobnie gazetowe) znajdujemy „w piachu, na pomiętym papierze”.

Ciągła eksploatacja motywu vanitas znajduje w końcu dopełnienie w nihilizmie. Staje się to w utworze o balzakowskim tytule „Ludzka komedia”, gdzie miłość i nienawiść zostają zrównane, sprowadzone do owej „komedii”. Bowiem – a to już inny wiersz, „Architektura” – „Miłość piłowała pień śmierci. Na próżno”. Mimo to miłość nie zostaje do końca zdyskredytowana, jako sposób zachowania człowieczeństwa wobec powszechnego rozkładu, destrukcji. Inną obroną człowieka w sobie – a być może

także skuteczną bronią przeciw śmiertelności – okazuje się (co nie jest zaskoczeniem dla nikogo, kto czytał choćby Horacego) twórczość. We wspomnianym wierszu „Burtę”, po wzmiance o niedoszłym śmiertelnym wypadku, czytamy: „w samochodzie szybko zapisałem / wiersz, nagrodę pocieszenia”. Temat pisania, twórczości, w ogóle ma w tym tomie szczególne miejsce: „Jestem uwięziony w słowach, mam dużo miejsca” („Przewody”), lub wręcz „Słowa mnie zrodziły” („Errata”). „Poprzedni dzień był dobry – napisałem wiersz, / tuliłem żonę i córkę” („Śródrecze”). Albo jeszcze krócej: „piszę, bo jestem śmiertelny” („Wiersz przeciw śmierci”). Choć i tego ostatniego oręcza skuteczność zostaje zakwestionowana w krótkim wierszu „Stulecie”.

7

A jednak... A jednak daje o sobie znać niechęć do zbyt jednoznacznych odpowiedzi – dla artysty rzecz niezbędna. Ważniejsze od nich okazują się pytania. I pytania pouracają, nie pozwalając podmiotowi lirycznemu (choć niekoniecznie autorowi) pozostać zdeklarowanym ateistą, czy nihilistą. Od pytań: „Kogo potrzebuję? Dlaczego i po co? / Kto szarpie mną jak pies dziewczyną na spacerze?” – zaczyna się cytowany już utwór „Przewody”. W wierszu „Chrzest” do bardziej bezpośredniego zapytania o transcendencję doprowadza jeszcze jedno pasmo odległych skojarzeń. Zwijanie nadmuchiwanego basenu ogrodowego, w którym kąpała się córka (przypomnienie chrztu w Jordanie?), numer telefonu zmarłej osoby – prowokują do myśli: „czy ktoś patrzy / na nas z wysoka jak kamera wznoszona przez dźwig? / Kto słucha, kto mówi?”.

Rozważań eschatologicznych, trochę na modłę gnostycką, można się dopatrywać w „Oparze”, rozpoczynającym się od spostrzeżenia: „Budzę się w sobie. W ciele, w tym, / w co mnie ubrała ziemia”. Przyrównanie ciała do ubrania musi prowadzić do pytań o istotę własnej tożsamości: jestem ubraniem, czy kimś, kto je nosi? Pytania te nie zostają wyrażone explicite, ale przywodzi je u czytającego zawarty w drugiej strofie obraz wyprowadzających się sąsiadów, którzy pakują ubrania do pudeł. W kontekście zacytowanego początku wiersza pudełka te w oczywisty sposób kojarzą się z trumnami. Zauważmy jednak, że opuszczający dom nie pakują do nich siebie, choć przecież można było zamknąć wiersz obrazem np. pudła samochodu, którym odjeżdżają. Brak takiej pointy pozostawia kwestię otwartą: być może nie jestem tylko „tym, w co mnie ubrała ziemia”. Nieco bardziej drastycznie podobną myśl ujął poeta w „Posłowie”: „Posłałeś po mnie. / Potem dusza jak mięso od kości / z chrzestem odpruła się od ciała”.

„Kropkę nad i” stawia wiersz „Na pomoście” – w żadnym razie nie dlatego, by był jednoznaczną deklaracją czegokolwiek; po prostu jego, by tak rzec, „ciężar religijny” jest bodaj największy. Kłamrą spinającą utwór – którego bohater liryczny przygotowuje się do udziału w pogrzebie znajomego – jest obraz martwej ryby, unoszącej się na wodzie „pod deskami pomostu” (znów czytelna aluzja do trumny). Z wiersza „Zatoka” wiemy już, że Jarosz nie odżegnuje się od wczesnochrześcijańskiego znaczenia symbolu ryby. Jeśli martwa ryba oznaczałaby umarłego Chrystusa, utwór traktowałby o oczekiwaniu na Zmartwychwstanie. Tymczasem „pod deskami pomostu ryba ani drgnie”. Gdyby na tych słowach kończył się wiersz, można by odczytać go jako niewątpliwe wyznanie... niewiary. Wszakże jest jeszcze pointa: „Bóg nie przyszedł. Ale idzie” – zatem kwestia możliwości zbawienia pozostaje otwarta.

Naturalnie, ceną takiej – powiedzmy – agnostycznej postawy jest brak metafizycznego punktu oparcia. Chyba właśnie gorzka świadomość tego faktu zrodziła „Kierunek”. To jeden z najkrótszych (zaledwie sześciowersowy), a zarazem chyba najlepszy spośród nowych wierszy Jarosza. Utwór ten przynosi obraz wędrowca idącego wzdłuż torów kolejowych. W świecących nad sobą gwiazdach widzi on jedynie „pęknięte oko semafora” – innymi słowy, nie mogą one wskazać kierunku. Podróżnik niesie w sobie „drżący kompas: / oddech, krew granatową jak śnieg, zimną jak szynę”. Z Kantowskiej maksymy pozostaje zatem jedynie druga jej część. Zarazem wędrowka przebiega – jak już nadmieniliśmy – „wzdłuż nasypu”, czyli kieruje nią coś stałego. W ludzkim życiu takim jednoznacznym „kierunkiem” może być jedynie czas – „podróż” przebiega ku nieznannej przyszłości.

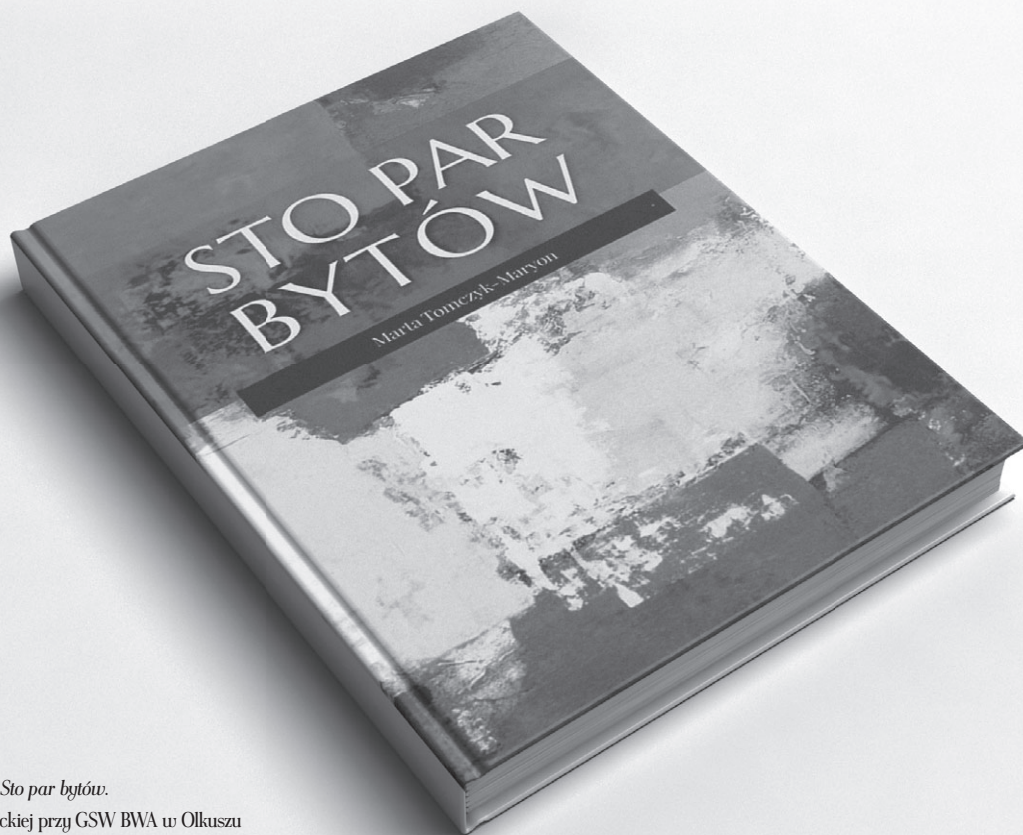
8

Święto żywych stanowi podsumowanie dotychczasowej „wędrowki” swego autora w jej twórczym aspekcie. Jednocześnie – powtórzmy raz jeszcze – jest to książka niezwykle spójna. Świadczy o tym, że Jarosz z rzadko spotykaną konsekwencją kontynuuje, a zarazem rozwija zarówno swój rozpoznawalny styl, jak i ogłód świata.

Nazwałem ten tom podsumowaniem dotychczasowej wędrowki, bo wątpię, by poeta mówił o sobie, gdy w zamykającym książkę wierszu „Pętla” pisze: „To wtedy, / kiedy chciał być żywy, postanowił / nie dopisywać już nic do świata”. Ta wędrowka będzie trwać. ●

Pewnym krokiem w jednej parze bytów

W 2015 roku Marta Tomczyk-Maryon wygrała konkurs poetycki im. Kazimierza Ratonia. Zgodnie z jego regułami, kolejna edycja była okazją do premiery tomu wierszy laureatki.
Rezultat: bardzo interesująca książeczka pod tytułem *Sto par bytów*.



Marta Tomczyk-Maryon: *Sto par bytów*.
Na zlecenie Galerii Literackiej przy GSW BWA w Olsztynie
wydała Drukarnia Grafpress; Olsztyn, 2016.

Już sam tytuł budzi skojarzenia z poezją lingwistyczną. I nie jest to trop mylny – gry słowne są nieodłączną cechą tej poezji. Nie oznacza to zaraz, byśmy mieli do czynienia z jakimś kolejnym neolingwizmem. Nie, język w żadnym sensie nie jest głównym tematem wierszy pomieszczonych w tomie. Zarazem jednak zabawy słowne nie pełnią wyłącznie roli ozdobnej. Na przykład tytułowe *Sto par bytów*, oczywiście kojarzące się ze stoma parami butów, jest celną figurą konsumpcjonizmu...

Poetka konsekwentnie posługuje się tym, co niegdyś zwano u nas „wierszem różewiczowskim”. Inaczej mówiąc, rytmika jej utworów jest intonacyjno-składniowa z subtelną domieszką tonizmu: „Pamiętać, aby jeść / (najlepiej trzy razy dziennie), / zmieniać ubranie / (przynajmniej co drugi dzień)” („Osiem (Elegia na odejście przyjaciela)”). Strofy pisze najczęściej nierównej długości, ściśle podporządkowując je intonacji, podobnie jak wersy.

Skojarzenie z Różewiczem ma zresztą szerszy zasięg, przekraczający ramy wersyfikacji. Samo podejście poetki do rzeczywistości współbrzmi z twórczością autora „Spadania”. Dotyczy to szczególnie krytyki współczesnego świata z jego masową konsumpcją i masową kulturą. Jednak Tomczyk-Maryon w żadnym wypadku nie kopiuje Różewicza. Tam, gdzie on bywał skrajnie dosadny, ona ogranicza się do finezyjnej kpiny.

Zwróćmy uwagę na przywołany już wyżej tytułowy wiersz. W pierwszej strofie czytamy: „posiadanie stu par butów przeraża mnie / (czy to nie tak jakby posiadać sto par bytów?)”, a dalej: „uciekam (...) / przed milionem by(u)tów / które każdego dnia rozprzestrzeniają się / zdobywając coraz większą połać świata / (...) a wystarczyło ich nie wypuszczać / tylko tyle”. Mnogość butów przeradzającą się w nadmiar bytów jest czytelnym nawiązaniem do słynnej sentencji Ockhama – mnożenie posiadanych butów ponad potrzebę stanowi tylko jeszcze jedną egzemplifikację tej myśli. Ciąg skojarzeń można zresztą rozwinąć, odczytując metaforę „stu par bytów” jako kpinę z marksistowskiej tezy, iż „byt określa świadomość”. Ostateczną konkluzją takiej interpretacji byłaby schizofrenia.

Niezbywalną cechą masowej produkcji (i konsumpcji) jest wszakże nie tylko obfitość, ale i... powtarzalność. Nie ma w tym nic złego, dopóki zasada ta dotyczy urządzeń technicznych czy innych przedmiotów codziennego użytku. Groźnie zaczyna być dopiero wtedy, gdy reguły masowej produkcji zaczynają dotyczyć dóbr kultury. Ostrą satyrą na taki stan rzeczy jest wiersz „Autorzy amerykańskich powieści kryminalnych”. Uwagę autora popularnych powieściodeł pochłania „ciągłe śledzenie notowań / gdy tu trzeba śledzić mordercę”. W tym pozornie beztroskim żarciku słownym zawarty jest paradoks „seryjnej produkcji literackiej”. Powieść kryminalna, która w założeniu powinna zaskakiwać czytelnika, faktycznie wpada w kolejną schematów aktualnej mody.

Taki stan rzeczy musi budzić protest co wrażliwszych jednostek i właśnie protestem jest wiersz „Podanie do...”. W tonie „Odmowy współudziału” Jacka Podsiadły (i być może z inspiracji tym utworem) poetka pisze: „Stanowczo odmawiam udziału w imprezie / (...) Nie udzielam mojej osoby do niekończącego się pochodu złożonego z / z / artystów cyrkowych przebranych za królów / królów przebranych za artystów cyrkowych / (...)

narzędzi tortur w postaci telefonów komórkowych, laptopów, / iPadów, / i w ogóle żadnych padów, ani skłónów nie zamierzam wykonywać”. Znowu z pozoru niewinna zabawa językowa odsłania niewesołą prawdę: życie rytmem bieżącej mody, „byciem na bieżąc” w dowolnej dziedzinie życia, coraz bardziej przypomina akrobację nie służącą już niczemu konstruktywnemu, stającą się celem samym w sobie. Co gorsza, ciągle dostosowywanie się do zmiennych trendów może okaleczać ludzką indywidualność – jak w „Rozmowie o mopsach”. Rozważania na temat obciążenia psu „brzydkiego” ogona prowadzą do pytania: „Ciekawe co nam można by uciąć?”. Zewnętrznym (i dosłownym!) objawem takiego podejścia do życia jest choćby rosnąca popularność chirurgii plastycznej...

Nic dziwnego, że długotrwały udział w owej „imprezie” prowadzi do zmęczenia, zubożenia, apatii. Konkluzją refleksji o naszym świecie wydaje się być utwór pod znaczącym tytułem „Paraliza”. „Całkowite zubożenie nie względem rzeczywistości” z przedostatniej strofy, lub wypowiedziana w poincie niechęć do „kontynuowania” – to nie wyraz lenistwa, ani tym bardziej tzw. znieczulicy. To – posłużmy się jeszcze jednym cytatem – „po prostu odwrócenie się tyłkiem po stosunku / który jakby nie było trwał lat 45” (a – dodajmy – opisane zachowanie sugeruje, iż nie był szczególnie satysfakcjonujący). Podobne zniechęcenie można wyczytać z wiersza „Niedoskonałość”, z tym, że tutaj zostaje ono już wyraźnie nobilitowane jako temat literacki. Bowiem „tłuste włosy (znowu wrócił nad ranem) / usta niepomalowane (nienawidzę tej pracy) / pognieciona spódnica (dlaczego to właśnie ona zachorowała?)” – tytułowa „niedoskonałość” – są (zupełnie jak u Grochowiaka!) prawdziwe. Są wyrazem realnych problemów. Za przeciwstawioną im sztuczną elegancją stoją zaś jedynie reklamy damskiej mody. Np. „idealna alabastrowa cera” reprezentuje wyłącznie „korektor fluid puder róż”.

Widać już, jaką funkcję pełnią w metaforze Marty Tomczyk-Maryon gry językowe. Są one wyrazem sarkazmu, z jakim poetka traktuje rzeczywistość. Takie podejście do lingwizmu łączy ją wyraźnie z Nową Falą, szczególnie z poetyką Ewy Lipskiej.

I znowu rzecz nie kończy się na podobieństwach czysto formalnych. Bo na przykład swoją żalobę po zmarłym przyjacielu Tomczyk traktuje z podobną autoironią, co Lipska w „Białym kordonku”. Przeczytajmy pierwszą część mini-poematu „Osiem (Elegia na odejście przyjaciela)”: „(...) Moje serce stanęło, / a jednak nadal biło. // Moja śmierć była na niby / twoja naprawdę. // Nigdy nie byłam mocna z paradoksów życia / teraz czas podszkolić się w paradoksach śmierci”. Ludzkie podejście do cudzej śmierci jest zatem egocentryczne. Nie koncentruje się na osobie, której śmierć bezpośrednio dotknęła, lecz na pośrednim „dotknięciu” nas samej utratą tej osoby.

Interesujące, że czytając „Osiem” trudno ustalić, czy zmarłym przyjacielem jest człowiek, czy może zwierzę. Zwracam na to uwagę, bo podobnie egocentrycznie – choć tym razem afirmująco – podchodzi do śmierci zwierzęcia bohater wiersza „Polowanie”. Po zastrzeleniu niedźwiedzia „myśliwy kieruje kamerą na własną uśmiechniętą twarz”. Strzelec chełpi się myśliwskim wyczynem, gdyż „jego serce to czarna plama ropy”. Metaforę tę należy chyba wyłożyć tak: zabicie zwierzęcia jako takie nie jest zbrodnią na samym zwierzęciu. Jednak zabicie go dla własnej satysfakcji oznacza zbrodnię na samej naturze, symboliczne jej „skażenie”.

Podmiot liryczny dla odmiany porzuca egocentryzm na rzecz empatii. Próbuje wejść w sytuację zabitego zwierza, opisując jego śmierć jako pewien proces. Ten sam trop odnajdziemy w liryku „Pytam ją...”, gdzie „uczucie” obejmuje umierającą na nowotwór kobietę i – równolegle – jej męża. Tutaj proces umierania zostaje przedstawiony jako przemiana w ptaka. Chora „skrzeczy / i powoli rozkłada skrzydła / (jeszcze się do nich nie przyzwyczaiła)”, przyszły wdowiec planuje zbudować dla niej klatkę. Takie surrealistyczne przedstawienie rodzinnej tragedii tylko z pozoru brzmi jak niestosowny żart. Ptak budzi przecież automatyczne skojarzenie z aniołem, klatka dla kontrastu przywodzi na myśl trumnę lub grobowiec. Przemiana żyjącej w umarłą stanowi dla niej i dla otoczenia proces, którego nie można ani powstrzymać, ani nawet pojąć. Można go jedynie akceptować i obserwować.

Akceptacja i obserwacja... Istotnie, medytacyjność – bo taką postawę wobec życia (i śmierci) nazwać trzeba medytacją w zenistycznym tego słowa rozumieniu – jest kolejną istotną cechą tej poezji. Cechą tym razem nie tyle wyróżniającą, co dość typową dla nowej poezji polskiej, poczynawszy mniej więcej od przełomu lat 80./90. zeszłego stulecia.

Medytacja (z domieszką autoironii) okazuje się również skutecznym sposobem radzenia sobie z szaleństwem konsumpcjonizmu. Podmiot liryczny wiersza „Nad zatoką w Fornells” zjada w restauracji homara „za 60 euro”, wprawnie manipulując „szczypcami / nożem / widelcem”. Później rozważa, co może być źródłem ogarniającej go błogości: „cena? / chirurgiczna precyzja? / a może ta zatoka o drugiej po południu? / cokolwiek to jest nie wymaga odpowiedzi”. Zauważmy, że nie ma na tej liście samego homara. Diagnoza jest prosta: w pogoni za drogimi towarami one same okazują się najmniej istotne, a być może zbędne. Liczy się sam entourage. A skoro tak, to być może nad brzegiem pięknej zatoki można by z równą przyjemnością delektować się prostszym posiłkiem.

Wydaje się więc, że postawa medytacyjna została wybrana całkowicie świadomie. Mogą to sugerować również dwa epigramy zainspirowane pobytem na półwyspie Bogdøy. Jeden z nich ma formę trzylinijkowego haiku, drugi – pięciowersowej tanki. Nawiązanie do medytacyjnej poezji Orientu nie ogranicza się naturalnie do ilości wersów. Oba utwory są zapisem obserwacji „dziania się rzeczy”. Jakkolwiek w haiku wkradła się odrobina metafizyki – poruszany wiatrem pokrowiec wydaje się skrywać „coś innego niż łódź”. Metafizyka jeszcze bardziej daje o sobie znać w (również „medytacyjnym”) dwuwierszu „Niewielkie rozmiary okna...”. Owo małe okienko daje „nadzieję / że ciemność za oknem nie jest tak duża jak się ją przedstawia”.

Spokojne spojrzenie na śmierć jako postępujący proces – taka filozofia zdaje się wypływać z dwóch źródeł. Równie zasadne jest tu skojarzenie z Dalekim Wschodem, co przywołanie zachodniego stoicyzmu. „Woda” w wierszu pod takim właśnie tytułem jest, jak u starożytnych, zarazem „aqua vitae” i „aqua mortis”. To „wody płodowe mojej matki i babki” i „czysta woda którą nalewam do szklanki”, ale również „dół w Auschwitz gdzie leżał dziadek”. Woda to także składnik potu, symptomu m.in. wielkiego strachu: „niby nic / tylko czasem / budzę się w nocy zlane wodą / która znajduje ujście / w rwących strumieniach / skóry”. Akceptacja nie obejmuje wyłącznie samego zdążania ku śmierci; mieści się w niej także pobłażliwość dla własnego lęku przed odejściem.

Jeżeli akceptacja taka płynie z wiary w życie wieczne, jest to wiara obarczona wątpliwościami. W krótkim wierszu „Matka” trumna rodzicielki jest „wielkim jajkiem”, co wydaje się być zapowiedzią zmartwychwstania. Pointa okazuje się uszkie autoironiczna: „Kiedy jajo znika w ziemi, / włączam zbawienie i świecę”.

Ostateczną manifestacją takiej postawy jest ostatni w tomie utwór: „Jestem w czasie niebyłym”. Obserwację świata po własnej śmierci można interpretować eschatologicznie, lub też jako wyobrażenie oparte na powtarzalności ludzkich losów. Świat zmarłych jest „ogrodem”, w którym „na tej ławce siedziała moja matka (krakowskie Planty rok 1967) / i babka (Gorlice rok 1936)”. „Bycie w czasie niebyłym” można pojmować na sposób zachodni – jako wyjście ducha ludzkiego poza czas (bądź jako zmartwychwstanie), lub też wschodni – jako przejście z czasu linearnego w cykliczny. Wspólnym mianownikiem będzie wszelako wieczność, w której „obrazy z dawnych czasów nie płoną / (...) i nawet groby otwierają się szeroko / przyjaźnie”. „Ciemną stronę” tej drugiej wizji odsłaniałby jednak utwór „Dzień Zaduszny”. W zaduszkowym śnie podmiotu lirycznego pojawia się... wspólne łóżko śmierci, na którym kolejno umierają wszyscy zmarli. Przebudzeniu towarzyszy konstatacja, że łóżko, na którym spała bohaterka wiersza, może być tym samym, które straszyło w sennych widziadłach...

Do tomiku trafiło również parę wierszy stawiających pytanie o miejsce Polski, Polaka, wreszcie polskiej kultury we współczesnej Europie. Te utwory prezentują się najmniej interesująco, będąc przeważnie wyrazem narodowych kompleksów, w dodatku mało oryginalnym. Szczególnie płytko wybrzmiewa to w wierszu „Baczyński przybywa do Oslo”, gdzie bogata i różnorodna twórczość poety zostaje sprowadzona li tylko do wątków patriotyczno-militarnych (co prowadzi do retorycznego pytania: „ale któż nas zrozumie? / – jeżdżący na szczurach w środku Europy / która pędzi w sportowych samochodach”). Jeszcze najciekawiej wypadają tu „Trzy kobiety” – liryk o Norweżce, Serbce i Polce „zjednoczonych” rozmową podczas wspólnego pływania w basenie.

Nieliczne „wpadki” nie dają jednak powodu do narzekania. *Sto par bytów* przynosi wiersze czerpiące z dobrych wzorców polskiej poezji współczesnej: zwarte, wolne od wielosłownia, a jednak przy uważnej lekturze pęczniące od znaczeń. Oduracając metaforę z wiersza „Niewielkie rozmiary okna...” można by powiedzieć, że są jak małe okienka ukazujące widok znacznie od nich większy. Nie są też w żadnym razie prostym naśladownictwem znakomitych wzorców. Poetka czerpie z nich, ale robi to po swojemu, rozwijając własną wizję świata.

Sto par bytów to debiut dojrzały – i bynajmniej nie dlatego, że późny. Jest przejawem w pełni uformowanej poetyki; dziełem autorki, która wie, co chce zrobić ze słowem i jak ma to zrobić. Dzięki temu jej wiersze – w odróżnieniu od wielu obecnie pisanych i drukowanych – nie męczą czytelnika. Często bowiem jest dziś tak, że poeta sam nie wie, do jakiego celu zdąża ani którędy, a fakt ten próbuje maskować zawiłym kluczeniem. Z Martą Tomczyk-Maryon nam to nie grozi. Ta poetka również w swej twórczości nie mnoży by(ut)ów ponad potrzebę. Ma swoje ulubione i idzie w nich pewnym krokiem. ●

XIII

Ogólnopolski Konkurs Poetycki
im. Kazimierza Ratonia

BWA Olkusz 2017 rok

GSW BWA Olkusz ogłasza XIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki
im. Kazimierza Ratonia.

Organizatorami są: Galeria Literacka przy Galerii Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olkuszu oraz Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA.

Celem konkursu jest: popularyzowanie poezji współczesnej, wspieranie twórców z dorobkiem i młodych talentów; propagowanie poezji ambitnej, trudnej.

Warunki konkursu: konkurs jest otwarty dla wszystkich twórców, zarówno zrzeszonych, jak i będących poza związkami twórczymi.

Każdy z uczestników konkursu proszony jest o nadesłanie jednego zestawu wierszy zawierającego od 5 do 8 utworów (łącznie około 150 wersów) niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i nienagrodzonych w innych konkursach – każdy utwór należy nadesłać w czterech egzemplarzach, zaopatrzonej w godło (pseudonim). Godło należy umieścić także na dołączonej do zestawów zaklejonej kopercie. Wewnątrz koperty powinny się znaleźć dane osoby: imię, nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail, wiek oraz kilka słów o ewentualnym dorobku. Do danych osobowych należy też dodać kopię dowodu wpłaty 20 zł opłaty konkursowej – konto: PKO BP 56 1020 2430 0000 8102 0043 4845 (z dopiskiem w tytule przelewu: „opłata na konkurs im. K. Ratonia w GSW BWA Olkusz”). Prace prosimy przysyłać pod adres: GSW BWA w Olkuszu, ul. Szpitalna 34, 32-300 Olkusz, z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. K. Ratonia”.

Termin nadsyłania prac upływa 30 września 2017 roku (decyduje data stempla pocztowego). Uwaga, warunkiem dopuszczenia do konkursu jest uiszczenie opłaty konkursowej. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane. Jury w składzie: Magdalena Rabizo-Birek (krytyk literacki, redaktor naczelna kwartalnika „Fraza”), Ewa Sonnenberg (poetka) i Adam Wiedemann (poeta) wybierze najlepsze zestawy, a nagrodą będzie wydanie zwycięzcy autorskiego tomiku. W I edycji był nim Maciej Sawa, którego debiutancka książka *rok S roki* ukazała się w ramach Biblioteki Galerii Literackiej BWA Olkusz i Biblioteki FRAZY w 2007 r. W II edycji zwycięzcą został Marcin Orlński, w III – Krystyna Myszkiewicz (wydany przez nas tomik *Na pstryk i zew* był nominowany do Nagrody Mediów Publicznych COGITO), w IV – Izabela Kawczyńska (tomik *Largo*), w V – Arkadiusz Stosur (tomik *Przejścia podziemne*), w VI – Teresa Radziejewicz (tomik *Samosiejki* był nominowany do Nagrody im. Wiesława Kazaneckiego), w VII – Natalia Zalesińska (tomik *Połączenia*), w VIII – Janusz Radwański (tomik *Chałwa zwyciężonym*), w IX – Bartosz Konstrat (tomik *Dzika kość. Encyklopedia utraconych szans* – nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius), w X – Wojciech Roszkowski, w XI – Marta Tomczyk-Maryon (tomik *Sto par bytów*), a w XII Paweł Podlipniak (tomik jest w opracowaniu). Pozostali nagrodzeni oraz wyróżnieni otrzymają nagrody pieniężne i książkowe. Na nagrody przeznaczone jest ok. 5 tys. zł.

Nagrodzeni i wyróżnieni zostaną poinformowani o tym fakcie listownie, telefonicznie lub e-mailem.

Mecenasami konkursu są: Starostwo Powiatowe w Olkuszu, Urząd Miasta w Olkuszu, Oficyna 21, wydawca tomu *Poezje Kazimierza Ratonia* oraz Fundacja Kultury AFRONT i wydawnictwo NEON. Patronat medialny: Kwartalnik FRAZA oraz Artyści24.pl. Laureaci I nagrody zobowiązują się dostarczyć organizatorom zestaw 30-50 wierszy. Część nakładu tomiku zwycięzcy będzie rozprowadzana przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA.

Oficjalne rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w listopadzie 2017 r. Organizator nie ponosi kosztów dojazdu nagrodzonych i wyróżnionych autorów. Laureaci mają za to zapewniony bezpłatny nocleg w Olkuszu. ●

Szczegółowe informacje o konkursie im. K. Ratonia udzielane są telefonicznie: (32) 754 34 47, kom. 660 404 840 lub e-mailem: galeriaolkusz@op.pl

Olgerd Dziechciarz > felieton

Jeśli myślicie, że poeci są łatwiejsi w obsłudze od prozaików...

Jeśli myślicie, że poeci są łatwiejsi w obsłudze od prozaików, to chyba nie znacie się na poezji. Kiedy otworzyłem oczy, zorientowałem się, że jestem we własnym łóżku.

Dobrze jest – pomyślałem uradowany. Mogłem czuć satysfakcję, bo przecież autopilot kolejny raz zadziałał bez zarzutu i doprowadził mnie do domu, a nie gdzieś w nieznane, w jakieś, nie daj Boże, obce łóżko. Obudziłem się jednak z przemożnym poczuciem straty.

Poszedłem na piętro obudzić poetę. Szukałem, krzyczałem, ale poety nie było. Łudziłem się nadzieją, że wstał wcześniej i udał się do rodzinnego miasta bez pożegnania. A może wcale nie przyszedł do mnie nocować, tylko poszedł nocować tam, gdzie miał nocować, czyli do bursy? – dedukowałem. Skądinąd słuszna rzecz, poeta powinien nocować (nomen omen!) w bursie. Przyszła mi do głowy także inna ewentualność: może jedna z przypadkowo poznanych wieczorem dziewczyn zaprosiła poetę do siebie, by przy śpiewie skowronków recytował jej swoje liryki, albo po prostu po to, żeby potem mogła powiedzieć koleżankom, że tej nocy był u niej poeta i został aż do śniadania? I że to, co mówią o poetach, to tylko pół prawdy, a nawet ćwierć prawdy, bo prawda jest taka, że poeci są boscy? Nie wiem. Łudziłem się, że zaistniała któraś z wyżej wymienionych okoliczności, a nie najbardziej prawdopodobny, prostacki wręcz fakt zagubienia przeze mnie poety. Dodam: poety, którego wzięłem pod opiekę. Jak ja się wytłumaczę nauczycielkom, którym obiecałem opiekę nad poetą zaproszonym przez nie na spotkanie z młodzieżą? Pamiętałem jak przez mgłę: błędziliśmy po mieście, naszym małym mieście, w którym w normalnych warunkach nie idzie pobrać, a nawet nie chce się błędzić. A myśmy błędzili, bo wcześniej wcale nie błędząc, trafiliśmy do Baszty – knajpy, której szef akurat miał urodziny, więc przygotował prawdziwą ucztę Baltazara. Poeta zastygł w drzwiach, gdy dostrzegł zastawione jadłem i wódką stoły.

– A co to? – zapytał, jakby nie rozumiał, co się szykuje.

– Uczta! – ja mu na to. – Prawie jak u Platona!

– Z jakiej okazji? – on z kolei.

– Jak to z jakiej okazji! – święcie się oburzyłem, że nie rozumie. – Na twoją cześć. Tak Olkusz wita poetów!

Uwierzyć? Uwierzyć!

A potem było z górki. Piliśmy, zakąszaliśmy, dyskutowaliśmy o wszystkim prócz poezji. I upadaliśmy, bo alkohol – jak powszechnie wiadomo – jest źródłem upadku człowieka. Aż przyszedł dziewczyny, których brak – jak czułem – doskwierał pocie. Tak, dawał wyraźnie do zrozumienia, że do kompletu z jadłem i wypitką przydałyby się niewiasty. Jedna z nich przypadła mu do gustu, choć na poezji nie znała się ni w ząb. Pierwszy szok zniósł dzielnie, choć to musiał być dla niego wielki szok, gdy po wyznaniu, że jest poetą, dziewczyna nie spadła z krzesła. Więcej: ona się nawet zbytnio nie zdziwiła!

– Co jest? – popatrzył na mnie zdumiony, oczekując wyjaśnień.

– Wybacz, stary, ale jesteś w mieście artystów i poetów. Rzuć kamieniem, a trafisz w poetę albo bezrobotnego. Ewentualnie w osobę, którą łączy te dwa byty doczesne.

Dalej było z górki.

Nie pamiętam ile, nie pamiętam, jak długo.

Następnie była pobudka i dojmujący brak poety.

– Podobno zgubiłeś poetę... – śmiali się ze mnie na mieście.

A ja przecież byłem niewinny, jak każde z tych niebożatek, które wypełniają wszystkie więzienia i areszty świata.

Uspokojono mnie jednak szybko, że poeta może i w nocy się zgubił, ale za to rano cudownie się odnalazł. Cały i zdrowy, choć bez rękawiczek i szalika. A ich brak okazał się znamienny w ten zimny, już wręcz mroźny listopadowy wieczór.

Dopiero po południu się do niego dodzwoniłem

– Żyjesz? – upewniłem się.

– Żyje – potwierdził moje przypuszczenia.

– Co się stało? – zadałem najprostsze, najbardziej podstawowe pytanie.

– Z tego, co pamiętam, to działo się sporo. Najpierw świeżo poznana dziewczyna odrzuciła moją bezinteresowną propozycję spędzenia wspólnie wieczoru. A mogło być tak miło... – na moment rozrzewnił się. – Potem się zgubiłem; szedłem w dal, w nieskończoność. Robiło się coraz zimniej i poczułem, że zamarzam. Tak właśnie poczułem. Szukałem taksówki, żeby mnie zawiozła do tej bursy, ale, cholera, nie było taksówek, a ja nie wiedziałem, gdzie jest ta bursa. Próbowałem się dodzwonić do tych miłych nauczycielek, które mnie zaprosiły, ale nie potrafiłem się wysłować. Myśli miałem precyzyjne, ale wiesz, jak to jest: język giętki nie chciał powiedzieć tego, co myślała głowa. W końcu telefon odebrał mąż jednej z nauczycielek. Zjechał mnie koncertowo! Mówił, że nie dzwoni się do zamężnych kobiet o trzeciej w nocy. Oj, nie zna ci on życia... Zresztą nieważne, ważne było, że ja umierałem, a on mi dawał lekcję ogłady i kindersztuby. W tym cienkim płaszczyku, bez swoich rękawiczek (za to, nie wiedzieć skąd, miałem parę damskich rękawiczek, za małych jednak na moje dłonie) autentycznie zamarzałem. Wreszcie trafiłem na stację benzynową. Tam mnie poinformowali, gdzie jestem: „Jest pan na stacji benzynowej”. W końcu znalazła się taksówka, która zawiozła mnie do bursy, jak się przekonałem, jedynej w mieście, więc nie musiałem znać adresu, mogłem po prostu zwyczajnie zapytać o burzę. Na miejscu, znaczy w tej bursie, wynikły kolejne kłopoty: bursa była zamknięta. Musiałem, jak Wałęsa, skakać przez płot – cud, że portek nie rozewałem – a potem dobijać się do zamkniętych na głucho drzwi. Po wielu minutach dobijania ktoś mi otworzył. Na dyżurce nic o mnie nie wiedzieli. Myśleli, że już nikt więcej nie będzie nocował. Nie mieli nawet klucza do magazynu z pościelą, więc spałem pod jakimś starym prześcieradłem. Rano, utrudzony, dowiedziałem się, że kuchnia jest nieczynna, i musiałem pić wodę z kranu...

– ...Mówią, że mamy bardzo dobrą wodę w kranach. Jonizowaną... – pochwaliłem nasze wodociągi.

Nie skomentował jakości wody.

– ...Potem jakoś się wyrwałem. Teraz jadę w pociągu...

Zmarkotniałem.

– Pewnie masz bardzo złe wspomnienia z Olkusza? – zapytałem, jak sądziłem, retorycznie.

– Co ty?! Dawno się tak dobrze nie bawiłem. Choć przyznam ci się, przez moment myślałem, że już nadszedł mój koniec.

Zatrzęsło mną. Oczami wyobraźni widziałem nekrologii w gazetach, że przyszłość polskiej poezji zamarzła pod stacją benzynową w Olkuszu. I moje zdjęcie obok, jako tego, który może nie bezpośrednio, ale pośrednio to już na pewno, odpowiada za śmierć wielkiego poety. Widziałem wielkie nagłówki: „Nikt nie pomógł pocie!” i „Liryka zamieniona w dramat”.

W moje czarne i wyboldowane myśli wtargnął podniecony głos poety.

– To co? Kiedy mnie znów zaprosicie do Olkusza?

No proszę, sam się prosił o kłopoty! Czyż nie mają racji ci, którzy uważają poetów za strażników na prostej drodze ku autodestrukcji?! ●

Jarosław Nowosad > Recenzje Poetyckie

Jeszcze dalej

poza ramy

Kilka lat temu, w 2011 roku, w cyklu Galeria Literacka BWA ukazał się debiutancki tomik wierszy Marty Jurkowskiej pt. *Poza ramy*. Pięć lat później, bo pod koniec roku 2016, poetka obdarowała nas swoim drugim zbiorem poezji. Czy lepszym? Chyba tak!

Debiutancka książeczka zaprezentowała czytelnikom ukształtowany już styl Jurkowskiej. Jest ona, najkrócej mówiąc, „poetką obrazu”. Nieprzypadkowo tomik kończył się cyklem wierszy zainspirowanych obrazami Claude’a Moneta. Ale nie tylko typowych ekfraz dotyczy to, co zaznaczono wyżej. Praktycznie wszystkie utwory – zarówno z tamtej, jak i z nowej książki – przemawiają głównie obrazami poetyckimi. Autorka (która notabene jest również malarką) w swoich lirykach bez rozwlekłych opisów, kilkoma celnymi zdaniem buduje poetycką wizję.

A jednak, w odróżnieniu od np. twórczości Łukasza Jarosza, nie jest to poezja typowo sensualna, wyrażająca swój sens wyłącznie za pośrednictwem zapisu wrażeń. Jurkowska chętnie wykracza „poza ramy”. Nie stroni choćby od gier językowych (szczególnie w pointach), obok obrazowych alegorii przemawia metaforami czysto słownymi, czasem pozwalając sobie i na kunsztowny żart typu: „ilekroć pragnę snu / zjadają mnie barany” („W blokowisku” z debiutanckiej książki).

Czytając nowy tomik poetki, zatytułowany *Między rzeką a lasem*, za każdym razem mam wrażenie, że pierwszych siedem utworów to jej naj-

nowsze dzieła. W każdym razie mam taką nadzieję, bo są chyba najciekawsze (może z wyjątkiem bardzo dobrego literacko, ale „ogranego” tematycznie „Opium”), a z pewnością trochę inne od całej reszty materiału.

Na czym ta odmienność polega? Przede wszystkim są to utwory o „gęstszej” metaforyce. Nadal odwołują się do obrazów, jednak dotychczas były to wizje o wiele bardziej statyczne. Teraz poetka posługuje się techniką „montażu krótkich ujęć”; generuje migotliwy ciąg „kadrów” rozblyskujących ledwie na chwilę, a przecież pozostających w pamięci i w jakiś sposób nakładających się na siebie. „Słońce tuszuje na skórze ślady zimy, / tylko we włosach pozostał szron, który / oblepia ściany i świdruje płuca” – czytamy w otwierającym tomik wierszu „Plotka”.

Zauważmy: mimo pozornego „szaleństwa” szybko zmieniających się obrazów sens zacytowanej strofy jest jasny i klarowny. Jurkowska nie należy do tych poetów, których „język ponosi”, czego efektem bywają w najlepszym wypadku długie ciągi skojarzeń, a w najgorszym – wiersze urokliwe, lecz pozbawione sensu. Ta poetka od początku dobrze wie, o co jej chodzi. Wiersz swój prowadzi konsekwentnie aż do konkluzji, w tym wypadku brzmiącej: „Dopóki wciągać nas będą historie // (...) wielokrotnie powtarzane jak stukot / kół pociągu, ciągle będziemy śledzić // koleje ludzkich losów”.

Co jeszcze? Być może właśnie ten dynamizm wizji, jej migotliwość sprawia, że liryki rozpoczynające tom pełne są podskórnego niepokoju. Często jest on uzasadniony tematem wiersza, jak choćby w utworze „Apokalipsa albo niebo nad Czelabińskim”. Inspiracją był oczywiście upadek meteoru na Uralu, jednak tytułowa apokalipsa ma wymiar indywidualny. Nie chodzi o panikę i zniszczenia wywołane przez kamień z nieba, lecz o całkiem inne „niebo / wszędzie jednakie (...), // które wkrótce po mnie przyjdzie”. Realna, materialna katastrofa służy jedynie za pretekst do wyrażenia obaw czysto metafizycznych.

Równie metafizyczne jest znakomite „Nurkowanie”, w którym zagłębianie się w sen jest metaforą dążenia do tajemnicy – życia? Śmierci? Być może do obu tajemnic jednocześnie. Kobiety, którym – jako „szybszym nurkom” – poświęcony jest ten śliczny liryk, „dłużej potrafią wstrzymać oddech, / kiedy kołyszają swoje nieutulone perły”. Jednocześnie „pod wodą (...) oczy / szczypią tak samo jak rak // i w żaden sposób nie da się wyłowić / słowa, które utknęło ością w gardle”. Pozornie bez troska zabawa dwuznacznością słów odsłania dramat niezdolności człowieka do wyartykułowania (nie mówiąc już o wyjaśnieniu) którejkolwiek z tych dwu tajemnic. Gdy o dwuznaczności mowa, uwagę przykuwa też „Płonąca dolina Luksoru”, która w wyobraźni uważnego czytelnika wzbudza co najmniej dwie zupełnie przeciwstawne wizje.

Dalsze utwory w tomie bardziej bezpośrednio nawiązują do debiutu, choć i one zarazem są świadectwem stałego doskonalenia warsztatu literackiego przez autorkę. Co prawda, jak wspomniano wyżej, już w *Poza ramy* często zdarzało się jej inkrustować swoje „słowne obrazy” metaforami wykraczającymi poza czystą obrazowość. I w nowym zbiorze nie brak utworów napisanych taką metodą – weźmy choćby pastelowe „Okno z widokiem”, „Zima chodzi po kołędzie”, „Reportaż” (ze świetną metaforą: „A moje myśli skupione jak cegła / na sąsiednim bloku”), lub

sympatyczny cykl „Na szlaku”. Wyróżnia się tu choćby „Przedwiośnie” z doskonałą strofką: „Języki wysuną się przed bramy, / oblepia ściany i okna sąsiada, / zmieszają z błotem dom” i biblijną pointą: „Czerwony kogut zapieje na alarm, / zapłonie krzew”.

Jednakże w niektórych (nowszych?) wierszach metafor tych jest więcej i są one pojemniejsze semantycznie. Wspomnieć tu trzeba choćby świetne „Czeresnie”, gdzie choroba (i nadchodząca śmierć) jednego człowieka „rozlewa się” na cały świat przyrody: „Posłuchaj jak drży ziemia, / pękają czaszki owadów. / Zaraz podłącz tlen, / będą uczyć trawy oddychania”. Mniej „gęste” poetycko „Po powodzi” buduje zaskakującą paralelę między klęską żywiołową a procesem dojrzewania młodej dziewczyny, jej przemiany w kobietę, w matkę: „Woda szła tędy i tędy, / szyłam kościelną sukienkę, / gdy przed nią klękały już zboża. (...) // A teraz draży we mnie studnię; / puchną mi nogi i echem odbija / się serce, wiem, że jeszcze przyjdzie, / wyleje ze mnie dziecko”.

Nadal pociąga poetkę humor słowny, jak w cokolwiek surrealistycznym zakończeniu „Kadru z zimowego wieczoru”: „Ślepe koty liżą mnie pod włos, // a ja siedzę, oglądam film o zimie, / szklance rozlanej po ulicy – // pełnej mleka”. Trzeba przy tym zauważyć, że poziom żartów też znacznie się podniósł. O ile jeszcze owe „koty” można by porównać z „baranami” ze wspomnianego wiersza „W blokowisku”, to już kontrastowe zestawienie stereotypowej „szklanki mleka” ze znaczeniem obu słów w żargonie kierowców jest kolejnym świadectwem wzrastającego kunsztu.

Spośród „wierszy-obrazów” w stylu pierwszego tomiku na uwagę zasługuje swoisty (bo w żaden sposób nie wyodrębniony) cykl liryków „polarnych”, zainspirowanych przyrodą Skandynawii. Są one może mniej odkrywcze od przywołanych wyżej, lecz warto je przeczytać choćby dla urokliwej metaforyki: „Zima dogania renifery, / wicher smaga mroźnym batem, / podkuwa lodem kopyta” („Dzika Skandynawia”). Trochę słabszym utworem tego typu jawi się „Chrzest”, epatujący sformułowaniami przesadnie dramatycznymi (a co gorsza, tu i tam cokolwiek wytartymi). Z nawiązką wynagradza nam to wiersz „Zabiorę cię w podróż”. Jest również obrazowy, a także narracyjny, wręcz „mini-epicki”. Dzięki wyćwiczonej umiejętności skrótowego ujmowania kolejnych sytuacji, autorka osiągnęła w nim efekt „przyspieszenia czasu”.

Pewną nowością są nieliczne wiersze, w których autorka zdaje się uciekać od obrazowości na rzecz posługiwania się abstraktami. Szczególnie wyróżniłbym tu ciekawą „Litanię” i jeszcze ciekawszą, autoironiczną „Drogę do sławy”. Trudno orzec, czy są one wyrazem zmęczenia dotychczasową konwencją, czy to tylko chwilowa od niej „odskocznia”.

Czy drugi tomik Marty Jurkowskiej jest lepszy od pierwszego? Po namyśle odpowiem: zdecydowanie tak! Najlepsze wiersze z *Poza ramy*, przeniesione do *Między rzeką a lasem*, byłyby tu jedynie „średniaczkami”. Zaś najlepsze utwory z nowej książki? Jeśli cały trzeci tomik będzie tak dobry... ●

Marta Jurkowska:

Między rzeką a lasem; Autorskie Galerie Sztuki, 2016.

I Ogólnopolski Konkurs Poezji im. Pabla Nerudy

Zapraszamy do udziału w I edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poezji im. Pabla Nerudy. Pomysł jego zorganizowania zrodził się z osobistych fascynacji organizatorek osobą noblisty, jego ponadczasową twórczością, szeroką tematyką utworów i jej nowoczesnym ujęciem.

Naszym zdaniem Neruda zasłużył na więcej uwagi oraz na promowanie jego wyjątkowej poezji w naszym kraju.

Uczestników prosimy o nadesłanie zestawu 3 wierszy niepublikowanych w wydawnictwach zwartych (książki, czasopisma) i nienagradzanych w innych konkursach, o dowolnej tematyce, w 3 identycznych zestawach. Utwory powinny być opatrzone godłem (pseudonimem). W osobnej kopercie, również z tym samym godłem, należy umieścić dane autora – imię, nazwisko, adres mailowy, numer telefonu, krótką notkę biograficzną.

Uwaga: obowiązuje opłata konkursowa w wysokości 20 zł. Pieniądze prosimy wpłacać na konto Fundacji Kultury AFRONT: Bank Pekao SA 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339 (z zaznaczeniem: „Opłata za konkurs im. P. Nerudy”). Nieuiszczenie opłaty i przysłanie zestawu nieregularnego powoduje jego dyskwalifikację. Kopię dowodu opłaty konkursowej należy dołączyć do koperty z danymi osobowymi.

- Zgłoszenia prosimy wysyłać na adres: Fundacja Kultury AFRONT, ul. Wiśniowa 7A, 32-332 Bukowno.
- Termin nadsyłania zestawów to 31 października 2017 roku (decyduje data stempla pocztowego).
- Niespełnienie któregokolwiek z ww. warunków jest równoznaczne z nieuwzględnieniem zestawu w konkursie. Nadesłane zestawy nie będą zwracane.
- Uczestnicy konkursu wyrażają zgodę na przetwarzanie swoich danych osobowych w zakresie koniecznym do prawidłowej współpracy z Organizatorem, zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 o ochronie danych osobowych (Dz. U. z 2015 r. poz. 2135).

Jury w składzie: Karina Stempel, poetka, filolog i tłumacz, oraz Iwona Młodańska-Watson, poetka, filolog i tłumacz, po wnikliwym zapoznaniu się z treścią nadesłanych zestawów i obradach wybierze laureata i maksymalnie dwóch autorów wyróżnionych. W tegorocznej edycji konkursu, a także w kolejnych edycjach zasiądzie również trzecia osoba, którą każdorazowo będzie inny, zaproszony poeta.

Laureat oraz autorzy wyróżnieni zostaną powiadomieni telefonicznie i mailowo.

Nagrody w wysokości :

- 1 miejsce – 500 złotych
- 2 wyróżnienia – po 200 złotych

zostaną rozdane podczas finału I OKP im. Pabla Nerudy, który odbędzie się w Olkuszu, na początku grudnia 2017 roku (termin i adres podane zostaną później). Organizatorzy nie ponoszą kosztów dojazdu autorów.

Nagrodzone i wyróżnione wiersze opublikowane zostaną na łamach Kwartalnika literacko-artystycznego „Afront”.

Gala będzie wydarzeniem otwartym, serdecznie zapraszamy wszystkich miłośników poezji do wzięcia udziału w tym wydarzeniu.

Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie Fundacji Kultury AFRONT: www.afront.org.pl